



Helen Brooks



Wymarzona farma

Special - „Szczęśliwa Gwiazdka”

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Północno-wschodnia Anglia, rok 1899

- Sypie gościem niż zwykle. Moja babcia mówiła, że tego roku zima da nam się we znaki, i miała rację.

Connie Summers uniosła głowę znad stanowiska, przy którym obierała całą górę cebuli, i popatrzyła przez brudne okno wytwórni marynat na sypiące płatki śniegu o nieskazitelnej bieli, które tworzyły czapę na kominie fabryki po przeciwnej stronie, i na zachmurzone, ołowiane niebo.

W odpowiedzi pokiwała tylko głową, wiedząc, że jeśli otworzy usta, przeraźliwie zimne powietrze - tylko o kilka stopni cieplejsze niż to na dworze - wywoła kolejny atak kaszlu. Byle przetrwać ostatnie minuty dwunastogodzinnej zmiany i jak najprędzej znaleźć się w domu.

- Wszystko w porządku, Connie? - zapytała koleżanka. - Marnie coś wyglądasz.

Ponownie kiwnęła głową, zmuszając się do uśmiechu, po czym dźwignęła masywną blaszaną miskę pełną cebuli i poniosła ją do jednej z wielkich kadzi na końcu hali, tłumiąc po drodze kaszel. Zauważyła, że ilekroć taszczy ciężkie naczynia, stan jej płuc ulega pogorszeniu. Ze strachem myślała o drodze powrotnej do domu. Gdyby ją było stać na tramwaj... Trudno, będzie musiała sobie poradzić. Jak zawsze.

Kiedy dziesięć minut później brygadzysta Bill O'Dowd dmuchnął w gwizdek, Connie zdjęła fartuch i powiesiła go na kołku, a następnie sięgnęła po czapkę i płaszcz. Obtarte i spuchnięte dłonie nie ułatwiały zapinania guzików, ale przywykła do tego. Tak było od ponad trzech lat, odkąd jako trzynastolatka

opuściła szkołę. Ze względu na charakter pracy wszystkie kobiety pracujące w wytwórni marynat miały podobne problemy z rękami.

Ale nie narzekała. I tak miała szczęście, bo większość dziewczyn, z którymi chodziła do szkoły, wylądowała na ulicy. Dzięki stałemu zatrudnieniu bywała w domu rano i wieczorem, mogła więc pomagać schorowanej matce, gdy jeszcze żyła, w prowadzeniu gospodarstwa i opiece nad młodszym rodzeństwem.

Przystanąła na dziedzińcu fabryki, żeby złapać oddech. Dzisiaj bardziej niż zwykle kłuło ją w piersiach i w plecach, kiedy kaszłała, a ból promieniał na całe ciało. Ale nie może sobie pozwolić na chorowanie i opuszczenie choćby jednego dnia pracy. Już i tak zalegają z czynszem, Tommy ma dziurawe buty, a Flora wyrosła z zimowego palta. Och, mamó, tato, pomóżcie mi, proszę, modliła się w duchu. Robię wszystko, co mogę, żebyśmy byli razem. Wiem, jak wam na tym zależało, więc nie pozwólcie, żeby mój wysiłek poszedł na marne. Powiedzcie, co mam robić. Dajcie mi jakiś znak.

Zachwiała się, głowę miała jak z waty, a twarz mokrą od potu. Przerazała ją długa droga z wytwórni we wschodniej części Sunderlandu do wynajmowanego na obrzeżach miasta pokoju, ale stanie na chłodzie nie miało sensu.

Nasunęła niżej filcową czapkę, a kiedy minęła bramę wytwórni, potężny podmuch północno-wschodniego wiatru omal nie zwałił jej z nóg. Niebo leżało nisko, a ogromne płatki śniegu wirowały i tańczyły na wietrze. Musiała ostrożnie stawiać nogi, bo pod warstwą świeżego śniegu krył się zdradziecki lód. Było już ciemno, kiedy mijiała wejście do starego domu towarowego przy High Street East, skąd powiało zapachem gorących pierożków z mięsem zmieszonym z wonią cebuli i flaczków.

Przeszła jeszcze parę kroków i oparła się o ścianę. Zwykle od tych zapachów ciekła jej ślinka, ale dzisiaj zrobiło jej się niedobrze.

Po wejściu w gęstą sieć uliczek zachodniej części miasta, przechodząc obok wysokich ponurych murów przytułku, poczuła się bardzo nieswojo. Do wszystkich dolegliwości doszło potworne zmęczenie. Najchętniej położyłaby się na śniegu i po prostu zasnęła.

Ponieważ nie mogła tego zrobić, wlokła się dalej. W domu czekali na nią Flora i Tommy, David i Ronnie. Uparli się jak zawsze, że zaczekają na nią z kolacją, chociaż prosiła Flore, żeby zaraz po szkole zjedli potrawkę, którą gotowała co wieczór, kiedy siostra i bracia udawali się na spoczynek. Nie miała pojęcia, czym nakarmi ich jutro. Ratowała się kawałkami podgardla, urozmaicała ubogie menu jarzynami, ale zapasów wystarczy jeszcze tylko na dzisiejszy wieczorny posiłek, bo wypłatę otrzyma za dwa dni. Ale tym będzie się martwiła jutro. Najważniejsze, żeby wrócić do domu, odpocząć, pospać parę godzin, a wszystko będzie dobrze.

Skreśliła w Howarth Street, gdzie wynajmowali pokój, ale zamiast ulgi, że jest tak blisko domu, poczuła, że za chwilę zemdleje. Chwyciła się latarni, łapała oddech, żeby móc iść dalej, kiedy zaczęło dzwonić jej w głowie. Dźwięk nasilał się, a jej wydawało się, że ktoś woła ją po imieniu. Mógł to być głos pani Briggs, która mieszkała trzy domy dalej. Pociemniało jej w oczach, puściła się słupa, osunęła się na ziemię i zapadła się w nicość.

- ...za dużo jak na nią. Jest taka wątła, waży tyle co nic, a tylko haruje w wytwórni i opiekuje się rodzeństwem. Wiedziałam, że to się tak skończy.

- Co się stało z jej rodzicami? Od jak dawna nie żyją?

Ludzkie głosy docierały do niej z bardzo daleka, jakby znajdowała się pod wodą, a ciężkie niczym ołów ręce i nogi uniemożliwiały wszelki ruch.

- Pan Summers, a był to zacny człowiek, zginął podczas tapnięcia w kopalni, będzie już ponad rok, jak nie żyje. Wkrótce potem ich mama dostała gorączki. Biedna Annie zawsze była słabego zdrowia. Mieszkali wtedy w domu na sąsiedniej ulicy, ale zarobki Connie nie wystarczały na utrzymanie całej tej gromadki. Mówiło się, że młodsze pójdą do przytułku, ale Connie nie dopuściła do tego i walczyła jak lwica, żeby mogli być razem. Ale teraz to już koniec.

- Pani... pani Briggs? - Jakimś cudem Connie pokonała bezsilność i otworzyła oczy. - Co się stało? Gdzie Flora i chłopcy?

- Wszystko w porządku, kochanie. Nie martw się. - Sąsiadka pochylała się nad nią. - Zemdlałaś na ulicy, tuż przy mnie, a kiedy zastanawiałam się, co z tobą zrobić, zatrzymał się ten uprzejmy dżentelmen i podwiózł cię do mnie dwukółką. Czy to nie miło z jego strony?

Dwukółka...? Connie chciała usiąść. Chciała zadać mnóstwo pytań, ale ledwie się uniosła, znów opadła bez sił.

- Proszę się nie ruszać. - Głos mężczyzny był niski i zdecydowany. - Zaraz będzie tu doktor.

Doktor? Nie stać ich na doktora. W domu został tylko kawałek chleba, a czym nakarmi ich jutro?

- Nie. - Tym razem pokój nie wirował tak szybko, kiedy z trudem siadała. - Nie chcę doktora. - Kiedy zaczęła widzieć trochę wyraźniej, ujrzała obok siebie zaniepokojoną twarz pani Briggs. - Niech im pani powie, że nic mi nie jest - zaprotestowała słabym głosem. - Proszę, niech im pani powie.

- Nie mogę, bo tak nie jest. - Głos sąsiadki brzmiał niezwykle łagodnie. - Połóż się z powrotem i odpocznij chwilę. Jesteś u mnie w kuchni, a nasza Elsie poszła popilnować twoją gromadkę. Mój mąż udał się po doktora jakieś piętnaście minut temu. Niedługo powinni tu być.

Dopiero teraz dotarło do Connie, że znajduje się w mieszkaniu sąsiadki i leży pod kocem na kuchennej ławie z wysokim zapiekiem.

- Nie - powtórzyła. - Muszę iść do domu.

- Na razie nigdzie nie pójdziesz. - To powiedział jakiś mężczyzna.

Po chwili go zobaczyła. Był wysoki, przystojny o surowej urodzie. Siedział na drewnianej ławie przy Connie i jawił się jej olbrzymem. Był opalony, jakby przebywał dużo na świeżym powietrzu, a włosy miał czarne. Uwagę Connie przyciągnęły jego oczy, szare, a raczej mglistoszare, o gęstych i długich rzęsach i intrygującym spojrzeniu. Jeszcze zanim zwróciła uwagę na dobry gatunek materiału, z którego uszyte było jego ubranie, domyśliła się, że ten człowiek przywykł do tego, by okazywano mu posłuszeństwo.

Otworzyła usta, żeby zaprotestować, ale zaraz je zamknęła, kiedy w drzwiach kuchni pojawili się pan Briggs z doktorem.

Obecność sąsiadki pomogła Connie łatwiej znieść diagnozę doktora, która była dla niej szokiem.

- Zapalenie opłucnej. Musisz zostać w łóżku przez parę tygodni.

Przepiszę ci lekarstwo, które musisz zażywać co sześć godzin. Poza tym masz dużo pić, a kiedy nastąpi poprawa, nie zaszkodzi dobry, pożywny rosółek, no i nie wolno ci się nadwierać, bo wylądujesz w szpitalu albo jeszcze gorzej. I ubieraj się ciepło. W domu i na dworze.

Zrozpaczona patrzyła na lekarza. Wszystko, co mówił, było niewykonalne. Chciała mu to powiedzieć, ale po kolejnym ataku kaszlu zabrakło jej sił.

Pani Briggs odprowadziła doktora do wyjścia.

Przez chwilę rozmawiał z jej mężem i z nieznanym, ale Connie nie słyszała, co mówią. Rozejrzała się po przytulnej kuchni, zatrzymała wzrok na żarzącym się piecu i na dobrze odżywionym kocie wygrzewającym się przy

ogniu na dywaniku. Nagle uzmysłowiła sobie gorzką prawdę - oto normalna rodzina, w której ojciec i trzech nastoletni synowie pracują, dom, który ma tak niewiele wspólnego z wynajmowanym przez nich pokojem z zawilgoconymi ścianami, niemożliwą do usunięcia stęchlizną i gołymi deskami podłogi.

Mimo wszystko ten ich pokój był czysty, pomyślała i uniosła dumnie podbródek na wypadek, gdyby ktoś spróbował to zakwestionować. Zadbaly o to z Florą, zanim się tam wprowadzili. Szorowały go centymetr po centymetrze, zanim ustawiły łóżka chłopców i to dla nich. Ale kiedy pojawił się stół, na którym stały garnki, patelnie, talerze i leżały sztuce, a także wsunęły drewnianą skrzynię z mizernym dobytkiem i stary fotel na biegunach matki, nie było już gdzie wetknąć przysłowiowej szpilki. Dla zachowania pozorów oddzieliła starą zasłoną kąt, w którym stały łóżka chłopców, dzięki czemu miały z Florą trochę prywatności, kiedy się myły i przebierały. Ale przez ostatnich dwanaście miesięcy było im naprawdę ciężko. A nad wszystkim unosiło się widmo przytułku.

Siłą woli, przytrzymując się wysokiego oparcia skrzyni, Connie podciągnęła się do pozycji siedzącej. Nie pozwoli, żeby młodszych zabrano do sierocińca. Nie może do tego dopuścić. A stanie się tak, jeśli pokona ją choroba. Może powinna posłać Florę do brygadzysty i wziąć wolne. Zawsze żyła w zgodzie z panem O'Dowdem, który zatrzyma dla niej robotę przez dzień albo dwa, ale nie dłużej.

Odrzuciła koc, zagryzła wargi i spuściła nogi na podłogę. Musi wstać i pokazać im, że nic jej nie jest. Teraz doszło jeszcze honorarium dla doktora. Miała nadzieję, że Briggsowie już mu zapłacili, więc poprosi ich o rozłożenie długu na raty.

Chwiejąc się, przeszła parę kroków, kiedy otworzyły się drzwi i do pomieszczenia weszła pani Briggs z nieznanym mężczyzną. Złapał ją, słabą

i leżąca z nóg, i klnąc pod nosem, bezceremonialnie niemal rzucił z powrotem na skrzynię.

- Znowu chcesz zemdleć? Leż i nie ruszaj się - warknął.

Connie, której temperament szedł w parze z rudym kolorem włosów, dopieklaby mu do żywego, gdyby nie choroba. I tak zdobyła się na całkiem donośny głos:

- Muszę iść do domu. Muszę dopilnować siostry i braci.

- To raczej oni w najbliższym czasie będą zajmować się tobą - odpowiedział mężczyzna tonem pozbawionym emocji.

Spiorunowała go wzrokiem. Co on może o niej wiedzieć? Poza tym, czego dowiedział się od pani Briggs, nie ma zielonego pojęcia o jej życiu. Z trudem oddychała, najchętniej przyłożyłaby głowę do poduszki i zasnęła, ale nie dawała za wygraną:

- Idę do domu.

Kiedy próbowała wstać, mruknął:

- Zwariowana smarkuła - i znowu wziął ją na ręce, a potem powiedział do pani Briggs: - Zaniosę ją do domu. Sama nie dojdzie. Czy pani mąż byłby tak dobry i przyniósł później lekarstwo?

- Oczywiście, zrobi to na pewno, a ja zajrzę do niej rano i sprawdzę, jak się miewa. Biedactwo, jest taka wyczerpana.

Rozmawiają, jakby mnie tu nie było, pomyślała Connie jak przez mgłę. Wszystkie jej zmysły koncentrowały się na fakcie, że pierwszy raz w życiu znajduje się w męskich ramionach. Mimo że czuła się chora, chłoneła świeży, przyjemny zapach, dziwiła się, że ten pan tak bez wysiłku ją dźwiga, podziwiała zdecydowaną, mocną szczękę pokrytą czarnym, kilkudniowym zarostem. Zdziwiona własną reakcją, nawet nie zaprotestowała, gdy wynosił ją z domu. Taka uległość nie leżała w jej naturze.

Kiedy znaleźli się na cichej, zaśniewanej ulicy, spojrzął na nią skrzyżującymi oczami, które ładnie współgrały ze smagłą twarzą.

- Gdzie jest twój dom? - zapytał opryskliwie. - Który numer?

Miał gołą głowę. Wszyscy tutejsi mężczyźni i młodzi chłopcy noszą czapki. Kiedy opuszczali dom, pani Briggs podała mu kapelusz, jaki nosi szlachta. Wziął go, a teraz trzymał w prawej ręce. Swoją drogą ciekawe, że nie dopatrzyła się wielkopańskich akcentów w sposobie, w jaki się wyraża.

Zapatrzyła się na gwiaździste płatki śniegu osadzające się na jego kruczoczarnych włosach. Miała mętlik w głowie. Po chwili dostrzegła konia i dwukólkę. Dobrze, że przymocował lejce do latarni, pomyślała. W końcu o tak później porze i w taką pogodę różne rzeczy mogą przychodzić do głowy łobuziakom z pobliskich fabryk, którzy zgromadzili się wokół pojazdu. Nie pamiętała, by ktoś na tyle bogaty, że stać go na konia i dwukólkę, odwiedzał ich dzielnicę. A koń był dorodny, nie jakaś szkapa.

Nagle uprzytomniła sobie, że nieznajomy czeka na jej odpowiedź.

- Trzy domy dalej. - Natychmiast się rozkaszała, gdy mroźne powietrze podrażniło jej gardło.

Paroma dużymi krokami pokonał odległość dzielącą ich od domu Connie, która zanosila się od suchego kaszlu i tak kręciło jej się w głowie, że nie była w stanie wydobyć głosu i powiedzieć, że drzwi są zawsze otwarte. Jeden pokój na górze zajmowała para staruszków, drugi pewna stara panna, a w trzecim, kiedyś kuchni, gnieździła się sześciuosobowa rodzina. W przejściu panował nieustanny ruch. Ona, jej siostra i bracia zajmowali pokój od frontu, a wszyscy razem korzystali z wygodki na podwórku oraz ze wspólnego ujęcia wody.

Flora zobaczyła ich przez okno, otworzyła drzwi i wybuchnęła płaczem, a stojąca w progu Elsie czmychnęła na bok, żeby zrobić przejście.

- Dziękuję. Już sobie poradzę - powiedziała Connie, kiedy opanowała atak kaszlu.

Nieznajomy, który jakby tego nie słyszał, trzymał ją nadal i lustrował wzrokiem pokój.

Tommy, David i Ronnie siedzieli z rozdziawionymi ustami na łóżku pod lichymi kocami, a na stalowej półeczce umocowanej nad żarzącym się węglem grzała się potrawka. Mężczyzna zatrzymał na niej wzrok, potem przeniósł go na pięć miseczek, które się podgrzewały. Connie wiedziała, co sobie myśli. Mało tego, by nakarmić pięcioosobową rodzinę, ale cóż mogła na to poradzić.

Spojrzał na zasłonę nad łóżkiem chłopców, która była odsunięta i umocowana do haka na ścianie kawałkiem sznurka, potem na stary bujany fotel i zniszczony stół z rondlami i garnkami. Na koniec skupił swą uwagę na szlochającej Florze.

- Dziękuję - wyszeptała zakłopotana Connie. - Był pan bardzo uprzejmy, panie... - Dopiero teraz uświadomiła sobie, że nawet nie zna jego nazwiska. - Naprawdę sobie poradzimy.

- Powiedz mamie - zwrócił się do Elsie, jakby Connie była nieobecna - że zabieram ich wszystkich do siebie i że będzie mi potrzebne lekarstwo, po które poszedł twój ojciec. Mieszkam za miastem, na farmie Hawthorn. Farma Hawthorn, zapamiętasz?

Elsie dopiero po chwili pokiwała głową. Connie wcale się nie dziwiła, że dziewczyna zaniemówiła z wrażenia. W końcu odwróciła się i wybiegła z pokoju, jakby miała skrzydła u nóg.

Wreszcie Connie odzyskała mowę.

- Nie możemy się stąd ruszyć, panie...

- Hudson. Luke Hudson.

- Nie możemy się stąd wyprowadzić, panie Hudson. - Wierciła się, więc posadził ją na bujanym fotelu. - Mam tutaj pracę, a dzieci muszą chodzić do szkoły...

- Nie będziesz w stanie pracować przez jakiś czas. Jesteś chora, panno Summers. Bardzo chora. Jeśli nie zastosujesz się do zaleceń doktora, to lepiej już teraz pożegnaj się z rodzeństwem. Nie zamierzam cię straszyć, ale doktor nie krył swoich obaw.

Błada jak kreda, znalazła jednak siły, żeby ponownie zaprotestować:

- Nie rozumiemy się. Jeśli stracimy ten pokój, nie stać nas będzie na inny. Muszę iść do pracy. - Szloch, który nią wstrząsnął, brał się bardziej ze złości na własną słabość niż z czegokolwiek innego. - Muszę. Nie ma innej możliwości.

- Jeden z domków przeznaczonych dla pracowników mojej farmy stoi pusty, więc możecie się tam wprowadzić. Kiedy poczujesz się lepiej, przydasz się mojej matce w prowadzeniu gospodarstwa. Od pewnego czasu myśli o wzięciu kogoś do pomocy. Twoi bracia i siostra też będą mogli zarabiać na utrzymanie po powrocie ze szkoły. Nie daję jałmużny, panno Summers. Wszyscy będziecie pracować w miarę swoich możliwości.

Spojrzenie szarych oczu było chłodne, podkreślało dystans między nimi, a ponieważ Connie zakręciło się w głowie, nie wszystko, co mówił Luke Hudson, dotarło do niej.

- Chce pan powiedzieć... - Odgarnęła drżącą ręką kosmyk z twarzy. - Powiada pan, że to mogłoby być na stałe? Domek, pomoc pańskiej matce i cała reszta?

- To zależy od was. Jeśli uznacie, że warunki wam nie odpowiadają, w każdej chwili będziecie mogli odejść.

Ofiarowywał im gwiazdkę z nieba i musiał to wiedzieć, ale był taki oziębły, taki wyniosły. Powiedział, że jest tam domek... Domek! I że będzie pomagać jego matce. Koniec z wytwórną marynat, w której nawet kiedy była zdrowa, padała z wyczerpania pod koniec dnia.

- Ale dlaczego? - zapytała oszołomiona. - Dlaczego pan to dla nas robi? Nawet pan nas nie zna.

- Jak powiedziałem, zarobicie na swoje utrzymanie, cała wasza piątka, a proponuję uczciwą dzienną stawkę za uczciwą pracę. Na razie, jeśli dzieci nie mają zostać puszczone samopas, ktoś będzie musiał mieć na nie oko i opiekować się tobą, a moja matka jest zdolną pielęgniarzką. Znajdziesz się w dobrych rękach.

To nie była odpowiedź na jej pytanie, ale czuła się zbyt chora i słaba, żeby dociekać. Chciała podziękować. Chciała dać wyraz swojej wdzięczności za najcudowniejszą, najwspanialszą rzecz, jaka kiedykolwiek im się przydarzyła, jednak zamiast tego znowu zapadła się w ciemność.

ROZDZIAŁ DRUGI

- Jak ona się czuje? - Po powrocie z pola Luke przystanął na progu przybudówki obok kuchni i wycierał ręce w duży ręcznik, który w tym celu powiesiła tu jego matka.

Obserwował ją, kiedy zamykała drzwi w kuchni, skąd wychodziło się na duże, wybrukowane kamiennymi płytami podwórze na tyłach domu, potem przeniósł wzrok na frontowe drzwi, które wprost z salonu wiodły do ogrodu, z takim oddaniem i maestrią pielęgnowanym przez matkę.

Pani Hudson szczyliła się faktem, że żadna farma w okolicy nie posiada ogrodu od frontu. Ojciec, gdy żył, szanował miłość żony do kwiatów, nie było więc powodu, żeby Luke zmieniał ustalony tradycją zwyczaj.

Wzruszyła pulchnymi ramionami i spojrzała na syna.

- Tak samo jak rano, w porze lunchu i po południu - odpowiedziała rezolutnie i podeszła do masywnego pieca, otworzyła drzwiczki piekarnika i wyjęła dużą brytfannę z faszerowaną pieczenią jagnięcą przeznaczoną na wieczorny posiłek. Wcześniej upiekła już szarlotkę.

Kiedy trzy tygodnie temu zjawił się tu z Connie i jej rodzeństwem, matka była wściekła. Powiedziała, co o tym myśli, po czym posłała łóżka w domku na farmie, a następnie przesiedziała całą noc przy Connie, która majaczyła w gorączce. Luke nie wątpił, że fachowej opiece matki dziewczyna zawdzięcza życie.

- Co powiedział lekarz? - zapytał Luke rzeczowym tonem i podszedł do dużego kuchennego stołu, gdzie usiadł na honorowym miejscu. Kiedy pięć lat temu zmarł jego ojciec, matka nalegała, żeby tam siadał, a kiedy przyjmowali

gości i korzystali ze stołowego pokoju, również tam wyznaczyła mu honorowe miejsce przy długim mahoniowym stole.

Matka była osobliwą mieszanką sprzecznych cech charakteru. To ona razem z Florą i dwiema żonami robotników rolnych wyszorowała i wywietrzyła pusty domek dla Connie i jej rodzeństwa po werdykcie doktora, który dwa tygodnie temu orzekł, że można już tam przenieść dziewczynę z sypialni głównego domu. Niemniej gdy Luke kupił meble z drugiej ręki, żeby urządzić puste pomieszczenie, matka uniosła brwi i mruknęła coś o tym, że niektórzy to już całkiem tracą poczucie rzeczywistości. Parę dni później zauważył śliczne zasłony w oknach domku.

- Doktor? - Maggie Hudson postawiła przed synem pieczeń do pokrojenia, a sama zajęła się kartoflami i jarzynami. - Cieszy się z wyraźnej poprawy. Spodziewa się, że w przyszłym tygodniu będzie mogła już wstać i posiedzieć przy ogniu, ale na razie ma sobie odpuścić i stopniowo dochodzić do siebie. Uważa, że zapalenie opłucnej to była ostatnia kropla, która doprowadziła ją do takiego stanu. Dziewczyna była już dawno u kresu sił.

- Wcale mnie to nie dziwi. Mówiłem ci, w jakich warunkach mieszkali. W naszych stajniach jest cieplej i bez porównania luźniej.

Nie odpowiedziała, ale w trakcie jedzenia odłożyła nagle sztućce i zwróciła się do Luke'a:

- Uważam, że muszę ci coś powiedzieć - oznajmiła bezbarwnym tonem. - I nieważne, czy ci to się spodoba, czy nie. Nic o tej dziewczynie nie wiemy, z wyjątkiem tego, skąd pochodzi, a to nie jest najlepsza rekomendacja. Oczywiście, że może być w porządku, ale jeszcze nie pora orzekać o tym. Nie jestem pochopna w wydawaniu sądów o ludziach, i może się okazać, że dla niej to miejsce jest upragnionym schronieniem, z drugiej jednak strony skąd możemy wiedzieć, czy nie jest zwykłą naciągaczką?

- I uważasz, że to ja jestem tym naiwniakiem do naciągania -
podsumował bez emocji. Nie czuł się urażony. Cenił szczerą rozmowę.

- Być może. - Maggie wyniośle potrząsnęła głową, jednak po chwili odezwała się łagodniejszym głosem: - Trzeba przyznać, że jest śliczna... Cóż, wcale bym się nie zdziwiła, gdyby w tej sytuacji potraktowała cię jak męża opatrnościowego. Tylko że ona jest jeszcze... - Zagryzła wargę. - Nie chciałabym cię znowu zranić, ale próbuję ci jakoś powiedzieć...

Luke obserwował matkę przez dłuższą chwilę, zanim uśmiechnął się z przekąsem.

- Jest dzieckiem... jak oni wszyscy. Dopiero przestali używać pieluszek.

- Teraz to przesadziłeś. Connie wnet skończy siedemnaście lat. To prawda, że jest drobna i chudziutka, ale to już kobieta, Luke.

- A ja mam dwadzieścia osiem lat i dwa lata temu pochowałem żonę i dziecko - wycedził.

- Och, Luke, bardzo cię przepraszam. Nie było moją intencją rozgrzebywanie tych spraw.

- Nic się nie stało, mam. - Zadrżał mu mięsień szczęki, kilka razy głębiej odetchnął, zanim odezwał się ponownie: - Mam za sobą osiemnaście miesięcy małżeństwa i wierz mi, że nie zamierzam powtarzać tego doświadczenia. Zresztą sama o tym dobrze wiesz. Jeden raz wystarczy mi na całe życie. Na niejedno życie - dodał z goryczą. - Sprowadziłem ich tutaj, ponieważ nic więcej nie mogłem zrobić. Gdybym ich tam zostawił, skazałbym Connie na pewną śmierć, a jej rodzeństwo na sierociniec. Musiałem tak postąpić, bo inaczej nie zaznałbym spokoju.

Maggie pokiwała głową.

- Zjedz kolację - powiedziała pojednawczym tonem. - Przecież nie lubisz zimnego jedzenia.

Wieczorem, po zajrzeniu do ulubionego konia, który dostał lekkiej kolki, Luke opuścił stajnię i powędrował przed siebie w mroczną zimową dal. Wspinał się po wzniesieniu, które prowadziło na szczyt wzgórza. Ciemne niebo rozpościerało się nad nim jak czarny aksamit, gwiazdy świeciły jak błyszczące diamenty, a księżyc w pełni żeglował po atramentowym oceanie. Przez cały dzień, z małymi tylko przerwami, sypał śnieg, a świat zachwycał czystością i skrzącą się bielą. Gdyby Luke odwrócił głowę, zobaczyłby farmę i domki swoich pracowników ze światełkami w oknach. Poza jednym. Ale to oczywiste, bo Connie i dzieci już śpią. Zdążył zauważyć, że zawsze są pierwsi w łóżkach, za to wstają też pierwsi.

Oczyrna duszy wyobraził sobie Connie taką, jaką widział wczoraj, kiedy zatrzymał się na krótką wizytę, gdy Flora i dzieci wróciły ze szkoły. Zawsze sprawdzał, czy rodzeństwo jest w domu i takim niewinnym kłamstewkiem posłużył się w rozmowie z matką, mówiąc, że uważa Connie za dziecko. Wciąż była bardzo blada i słaba, choć na jej policzkach pojawiły się już lekkie kolory, a w ciemnoniebieskich oczach było trochę blasku.

Otrząsnął się, odwrócił głowę i zapatrzył się na krajobraz. Miejscowi uważają go za wyjątkowego szczęściarza, i pewnie tak jest, pomyślał, wciągając głęboko rześkie powietrze. Ma własne gospodarstwo o powierzchni prawie tysiąca hektarów, którego znaczna część to bogata, żyzna gleba pod uprawę zbóż i trawę dla bydła, i niczego nigdy mu nie brakowało. Przynajmniej w sferze materialnej.

Spadająca gwiazda rozbłysła na niebie, znikła i stracił ją z oczu. Podobnie jest z miłością, czy też raczej z tym, co w swej naiwności uważał za miłość. Ot, rozbłysła ponad sześć lat temu - i skończyła się nieodwracalnie.

Christabel Ramshaw, ukochana i rozpieszczana jedynaczka sąsiadów i miejscowa piękność, spośród licznych konkurentów wybrała jego. Więc zaczął

o nią zabiegać, odwiedzał farmę Ramshawów w piątkowe wieczory i w niedzielne popołudnia. Popijali herbatę w saloniku albo udawali się na stateczne spacery, ale zawsze w towarzystwie jej matki albo ciotki. Aż do ślubu nigdy nie przebywali sami. Co najwyżej trzymał ją za rękę.

Gdzieś w ciemności zahukała sowa, zakłócając ciszę i spokój, ale po chwili znowu wszystko ucichło.

Noc poślubna była jak zły sen, a on czuł się jak brutal, nawet wówczas, kiedy próbował potrzymać żonę w ramionach. Gdy po dwóch miesiącach jego małżeństwo nadal pozostawało nieskonsumowane, matka odbyła na jego prośbę szczerą rozmowę z Christabel. Po niej żona pozwoliła mu na pewien stopień intymności, ale gdy został poczęty syn, oznajmiła, że „te wstrętne rzeczy” kończą się raz na zawsze. Chcąc nie chcąc, musiał pogodzić się z faktem, że kobieta, z którą się ożenił, jest nie tylko oziębła, ale także leniwa, zepsuta i samolubna. Nie kiwnęła palcem, żeby pomóc teściowej w prowadzeniu domu, wymusiła zgodę na codzienne przejażdżki dwukółką do znajomych z sąsiedztwa, a w końcu, kiedy przyszedł na świat ich syn, odmówiła kategorycznie zajmowania się nim. Kiedy Luke protestował, wpadała w histerię.

Pewnego dnia poskarżyła się na złe samopoczucie. Nabawiła się szkarlatyny, która zmogła ją w ciągu trzech tygodni, a synek zmarł tydzień później. Miał zaledwie trzy miesiące.

Luke wzniosł twarz ku niebu w gniewnym rozżaleniu, jak wówczas, kiedy niósł białą trumienkę z kościoła na cmentarz, a potem patrzył, jak składają jego syna do tego samego grobu, w którym spoczęło ciało żony. Chciał go wtedy pochwycić i krzyknąć do żałobników, że dziecko nie zazna spokoju u boku takiej matki. Że Christabel go nie chciała, odmówiła mu swojej

piersi, kłamiąc, że nie ma mleka, nigdy nie tuliła synka w ramionach. To ona pośrednio była winna jego śmierci.

Oczywiście nic takiego wówczas nie powiedział, ale jeszcze tego samego dnia przysiągł na grobie syna, że nigdy nie da się omamić żadnej kobiecie.

Zawrócił w stronę farmy, poczuł zapach gasnącego ogniska, które wcześniej rozpalili tu jego pracownicy podczas wycinki kawałka lasu i cięcia polan na opał. Wciągnął zimne powietrze w płuca, zachłysnął się nim i poczuł ulgę.

To była rzeczywistość. Wyobraził sobie kołyszące się łąny zbóż, gęste lasy, niskie żywopłoty, kamienne murki bez zaprawy i występy skalne wyznaczające granice jego ziemi. Ziemi, której powietrzem oddycha i której jest panem. Wydaje swoim ludziom polecenia i znajduje posłuch. Panuje nad sytuacją. I tak już zostanie.

Zbliżał się do domu miarowym krokiem, twarz miał chłodną i opanowaną. Tym razem nie spojrział w stronę domku ukrytego w cieniu nocy.

Wystarczy, że już raz dał się usidlić. Każdy człowiek ma prawo do pomyłki, ale żeby wpaść po raz drugi... Nie, to graniczyłoby z szaleństwem. Jego życie znów jest uregulowane, tyka jak w zegarku, w sumie niemal idealnie. Pory roku następują po sobie, farma kwitnie, a on nie ma nad sobą nikogo i nie odpowiada przed nikim. Przed żadnym mężczyzną, a zwłaszcza przed żadną kobietą.

ROZDZIAŁ TRZECI

Connie wpatrywała się w żarzący płomień i wciąż nie mogła się nadziwić, że znajduje się w miejscu, które na swój użytek nazwała rajem na ziemi.

Było Boże Narodzenie i po raz pierwszy od tygodnia nie sypał śnieg. Flora, bracia i Rose - poczciwa i miła kobieta, żona najbliższego sąsiada - udali się po choinkę do lasu. Rose miała pomóc Florze i chłopcom ozdobić drzewko sosnowymi szyszkami, które zamierzali pomalować na kolorowo. Powiedziała, że robiła to samo ze swoimi dziećmi, gdy były młodsze, a mały Ronnie tak się tym podniecił, że w nocy rozboleł go brzusek. Nawet Tommy nie mógł zasnąć.

Connie polubiła Rose i jej męża Jacoba. Polubiła tu wszystkich. Byli dla niej tacy dobrzy i mili. Tacy serdeczni.

Jej wzrok powędrował na błyszczącą grafitową płytę pieca z piekarnikiem po prawej stronie i z wnęką na garnki po lewej. Siedziała w jednym z dwóch nie najnowszych, ale wygodnych foteli, ustawionych po obu stronach pieca, między którymi leżał puszysty dywanik. Wieczorem siadywali tam jej bracia, przebierając palcami nóg po wystającej metalowej kracie.

W kuchni był też stół z przystawionymi po obu stronach dwiema długimi ławami, chwiejący się kredens i fotel na biegunach jej matki. W malutkiej komórcie stała mała cynowa wanna, a na stołku duża miednica. Dwie sypialnie, każda z podwójnym łóżkiem i z komodami, dopełniały całości wyposażenia domku, który - Connie wciąż nie mogła uwierzyć w ten cud - był ich domem.

Do końca życia nie wyplacą się panu Hudsonowi za to wszystko, co dla nich zrobił. Była o wiele poważniej chora, niż sądziła, a on ich uratował. Jest dobrym, nawet bardzo dobrym człowiekiem.

Wstała, podeszła do okna i zapatrzyła się na spowity śniegiem świat. Tak by chciała wyjść na dwór, ale była jeszcze na to za słaba. Na szczęście to już nie potrwa długo.

Przeszła do kuchennego stołu i zaczęła obierać kartofle na wieczorny posiłek. Do niedawna, kiedy nie czuła się najlepiej, kolację przynosiła im co wieczór matka pana Hudsona. Teraz Connie aż się rwała do pomocy w domu na farmie. Chciała też zacząć wreszcie zarabiać i przestać być ciężarem dla pani Hudson, a także dla jej syna.

Zadumała się. Wprawdzie pan Hudson nigdy tego nie powiedział, ale sposób, w jaki się zachowywał - chłodny i wyniosły - wskazywał na to, że już od pierwszego dnia żałował, że ich tutaj sprowadził. A może jej nie lubi? Dla Flory i chłopców potrafi znaleźć miłe słówko. Ot, wczoraj, przy okazji odśnieżania ścieżek, bawił się z wszystkimi dziećmi, rzucając śnieżkami...

Kiedy rozległo się pukanie do drzwi, poprosiła nieznanego gościa do środka i podniosła się z miejsca. Chociaż powtarzała sobie, że to niekoniecznie musi być on, czekała z niepokojem.

Pan Hudson stanął we framudze drzwi, a ona myślała, że serce wyskoczy jej z piersi. Czasami, kiedy do nich zaglądał, miał na sobie robocze ubranie, bo, jak to ujęła Rose: - Pan nie boi się ubrudzić rąk.

Znany był z tego, że lubi przebywać na dworze. Kiedy indziej, tak jak teraz, ubierał się jak przystało na zamożnego gospodarza dużej i dobrze prosperującej farmy.

- Dzień dobry. - Rozejrzał się dokoła. - Sama w taki piękny świąteczny poranek? Reszta na dworze?

- Tak, proszę pana. - Wszyscy pracownicy, włącznie z żonami i dziećmi nazywali go „wielmożnym panem”, tylko ona nie mogła się zmusić. Był to wpływ ojca, który szczyił się tym, że nigdy nikomu w pas się nie kłaniał ani do nikogo tak się nie zwracał. Był dumnym człowiekiem i cenił sobie niezależność.

Skinał głową, ale nie wszedł do środka. Nigdy tego nie robił, kiedy była sama.

- Rose była tak miła i zabrała Floreę i chłopców po choinkę do lasu. Później zamierzają ją ozdobić. Chłopcy są nieprzytomni ze szczęścia. Nigdy wcześniej u nas tego nie było.

- Nawet kiedy żyli wasi rodzice?

Potrząsnęła głową.

Nie było czasu ani energii na takie rzeczy, chociaż ona i mama robiły, co mogły, żeby młodszy zawsze dostawali po pomarańczy, jabłku i jakiejś słodkiej niespodziance w poranek Bożego Narodzenia. Raz, jeszcze zanim urodził się Ronnie, ojcu udało się zdobyć dużego tłustego indyka w starym domu towarowym. Zbliżała się północ i zamykano ostatnie stragany. Początkowo kupiec targował się, ale gdy ojciec wręczył mu parę zaoszczędzonych miedziaków, mężczyzna nagle ustąpił, mrużąc pod nosem coś o Bożym Narodzeniu, i wepchnął ojcu indyka do rąk. To były cudowne święta. Jakże brakowało jej taty i mamy.

Czyżby poznał jej myśli i dlatego zamknął drzwi i wszedł do środka?

- Musiało ci być ciężko, kiedy odeszli - powiedział. - Nigdy cię nie kusilo, żeby oddać dzieci pod opiekę i zacząć żyć dla siebie?

- Do przytułku?! Był pan tam kiedyś?

- Nie, nie byłem, ale na pewno mieliby tam swój kąt i regularne wyżywienie.

- Tak, i przyłgnęłoby do nich piętno dzieciaków z przytułku, nie mówiąc o innych upokorzeniach i przykrościach. Zostaliby też rozłączeni i... - Przerwała w pół zdania, pewna, że on i tak tego nie zrozumie. Poszła raz z matką odwiedzić jedną z dawnych sąsiadek i zobaczyła stare kobiety ubrane w ohydne jednakowe mundurki, poczuła odrażający zapach z sali chorych... W domu, po tej wizycie, nie zmrużyła oka przez całą noc. - Po tym, co tam widziałam, za nic bym ich nie oddała do przytułku - dokończyła bezbarwnym głosem.

- To było gorsze od tamtego waszego pokoju i powolnego przymierania głodem? - zareagował szybko. - Bo na to się zanosilo.

Podniosła wzrok i spojrzała mu w oczy.

- Mielismy siebie, mieliśmy dom. A tam to było piekło na ziemi.

- Rozumiem. - Zamilkł na jakiś czas, a potem powiedział: - Widzę, że przeszkodziłem w pracy. - Wskazał ruchem głowy na kartofle, które przed chwilą obierała. - Proszę mnie wyrzucić.

- Och, zdążę do wieczora. - Zebrała się w sobie i wyrzuciła jednym tchem to, co już dawno chciała powiedzieć: - Nigdy nie podziękowałam jak należy za wszystko, co pan dla nas zrobił. Wiem, że gdyby nie pan, mogłoby mnie już nie być. Doktor nie krył swoich obaw. A sprowadzając nas tutaj, dając nam te meble, jedzenie i opał... - Nie znajdowała właściwych słów na wyrażenie swojej wdzięczności.

Spotkali się wzrokiem i przez chwilę przyglądali się sobie w milczeniu. W końcu ona pierwsza odwróciła głowę. Czuła ciarki na plecach, ale poza tym, że nigdy wcześniej nie spotkała nikogo bardziej męskiego od niego, nie umiała sobie wytłumaczyć własnej reakcji. Nie chodziło o jego imponujący wzrost ani o szerokie, mocne ramiona, których siłę poznała, kiedy ją trzymał i niósł tamtego pierwszego wieczoru, nie, chodziło o coś zupełnie innego. Emanowała

z niego jakaś wewnętrzna moc, i to było takie niepokojące. Wiedziała od Rose, że stracił żonę i syna, a po tej tragedii stał się innym człowiekiem. Mimo że byli razem tak krótko, jego żona musiała być najszczęśliwszą kobietą na świecie, uznała Connie.

Zaczerwieniła się z powodu swoich myśli i zaczęła mówić jeszcze szybciej niż poprzednio:

- Będę mogła zacząć pracę po Bożym Narodzeniu, a na wiosnę i w lecie, kiedy Flora i chłopcy będą pracować w polu do wieczora, zaczniemy wreszcie spłacać dług, jaki zaciągnęliśmy u pana.

- Dług? - Zmarszczył czoło. - Nie jesteście mi nic winni, Connie.

Po raz pierwszy zwrócił się do niej po imieniu, a ona zaczerwieniła się jeszcze bardziej.

- Ależ tak - wyjąkała. - Karmi nas pan, dostarcza opał i...

- Nie jesteście mi nic winni - powtórzył kategorycznym tonem. - Moja matka będzie ci wdzięczna, jeśli pomożesz jej w domu, gdy w pełni dojdiesz do siebie. Ostatnio męczy się coraz szybciej, choć się do tego nie przyznaje. Wprawdzie Rose i Bess pomagają jej w mleczarni, a żona Setha dogląda świń i kur, ale przecież sam widzę, że jest jej coraz trudniej. Nie ma już tej energii co dawniej. - Uśmiechnął się. - Chociaż twierdzi, że wszystkiemu śpiewająco podoła.

- Zrobię wszystko, co tylko zechce. Jestem silniejsza, niż się wydaje. To znaczy tak było dotychczas - dodała z zakłopotaniem.

Uśmiechnął się szeroko.

- Nie wątpię, a najważniejsze, że z każdym dniem będzie coraz lepiej.

Nigdy wcześniej nie widziała u niego tak szczerego i naturalnego uśmiechu. Wiedziała, że chce ją w ten sposób ośmielić. A to, że było mu z tym

do twarzy i że zmienił się nie do poznania, to już inna sprawa. Natomiast jej uśmiech był powściągliwy i wargi trochę drżały, kiedy powtórzyła:

- Zacznę pracę po Bożym Narodzeniu.

- Jeszcze zobaczymy. Może być i po Nowym Roku. Tym razem to będzie także nowe stulecie. Oby był to początek lepszych czasów dla ciebie, twojej siostry i braci.

- Och, jestem pewna, że będzie - powiedziała ciepło.

I znów spojrzeli sobie w oczy, a Connie stwierdziła, że brakuje jej tchu. Tym razem nie mogła oderwać wzroku od Luke'a Hudsona.

Po chwili skinął głową, odwrócił się i zmierzając do drzwi, powiedział przez ramię:

- Jest taka tradycja, że w Boże Narodzenie przed zachodem słońca każdy przychodzi do nas do domu i odbiera świąteczne paczki. Moja matka przygotowuje kosz smakołyków dla kobiet, a mężczyźni dostają bardziej płynny prezent, również dzieci otrzymują drobne podarki. Jestem pewny, że twoja siostra i bracia będą się dobrze bawili.

Otworzyła szeroko oczy. Wiedziała od żon pracowników, że wszyscy poczytują sobie za szczęście pracę w tym majątku i uważają się za jego nieodłączną część. I tak było od pokoleń. Podobno każdy kolejny pan był wymagający, ale sprawiedliwy, i miał postępowe poglądy. Connie wiedziała od Rose, że obecny pan, a wcześniej jego ojciec, oczekiwali bezwzględnej lojalności i wytrwałej pracy, ale nigdy nie okazywali małostkowości czy opryskliwości, co nie jest tak rzadkie u innych farmerów.

- Ale my jesteśmy tu od niedawna, a spotkało nas już tyle dobrego... - Connie czuła się zażenowana. - Nie oczekujemy, że będziemy traktowani jak inni. Ofiarował nam pan więcej, niż trzeba.

- Naprawdę tak uważasz? - powiedział bardziej w formie stwierdzenia niż pytania, marszcząc przy tym brwi, jakby był niezadowolony z jej słów, choć nie wiedziała dlaczego. - Chcę, żebyś przyszła z rodzeństwem do nas do domu - powtórzył. - Dobrze?

- Tak, oczywiście, dziękuję. - To dziwne, pomyślała, patrząc na niego, że człowiek może mieć takie chłodne, a zarazem takie smutne spojrzenie.

Po wyjściu Luke stał jeszcze jakiś czas przed domkiem i zastanawiał się, skąd bierze się jego troska o Connie i dlaczego tak często tutaj zagląda, skoro te wizyty najwyraźniej mu nie służą. Zawsze jest po nich niespokojny i nie może znaleźć sobie miejsca. Wcisnął czapkę na głowę i pomaszerował w kierunku stajni. Ostry galop na Ebony dobrze mu robi. Marnowanie tak pięknego dnia byłoby przestępstwem.

W stajni natknął się na małego Charliego Todda, najmłodszego syna jednego z pracowników, którego dwaj najstarsi synowie opiekowali się końmi rasy shire, łagodnymi olbrzymami, a także Ebony i brązową klaczą jego matki. Chłopaczek miał dopiero siedem lat, a jego największym szczęściem było przesiadywanie w stajni i opiekowanie się zwierzętami wspólnie z braćmi. Przybiegał tu zaraz po szkole i trudno go było wygonić.

- Ebony pozwolił mi się nakarmić jabłkiem, wielmożny panie. - Malec był podekscytowany. - Wziął je z mojej ręki, naprawdę. Jest taki łagodny jak baranek.

- Nie byłbym tego taki pewny. W każdym razie musisz być czujny, Charlie. - Ebony był żywiołowym i rączym koniem, miewał przy tym zmienne nastroje, znany był z tego, że gryzie.

- Jestem, wielmożny panie. Kiedy patrzy na mnie o tak... - malec parsknął i zmarszczył nos - ...wiem, że nie chce mojego towarzystwa. Ale kiedy prycha, sapie i kiwa łbem, jest w porządku.

Luke uśmiechnął się do chłopca.

- Myślę, że pójdiesz w ślady swoich braci, kiedy będziesz starszy - pochwalił malca, po czym kiwnął głową do wyrostka, który wyprowadził Ebony z boksu, a następnie wyszedł z nim przed główny budynek i sprawnie osiodłał.

Charlie nie odrywał od nich oczu.

Po opuszczeniu stajni twarz Luke'a posmutniała. Myślał o swoim nieżyjącym synku, który pewnie byłby równie miłym, bystrym i zawsze uśmiechniętym dzieckiem jak Charlie.

Spiął konia obcasami, popędził go do galopu i popuścił wodze. Zatrzymał się dopiero na grani wzgórza.

Dlaczego, odkąd na farmie pojawiła się Connie, tęsknota za synem odzywała się ze zdwojoną siłą? Nie znajdował racjonalnego wyjaśnienia. Do tego doszły prawie bezsenne noce. Zdarzyło się kilka razy, że krążył niespokojnie po sypialni i zastanawiał się, czy nie pójść za przykładem rówieśników i nie pojechać do Sumerlandu lub Newcastle i nie odwiedzić jakiegoś burdelu, ale myśl o płatnej miłości napawała go odrazą.

Uśmiechnął się gorzko. Chyba jest szalony. Znał kilka kobiet ze swojej sfery, które nie ukrywały, że byłyby mu przychylne, a jedna - ciemnooka piękność, której mąż miał jedną czy dwie kochanki - dała mu wyraźnie do zrozumienia, że chętnie by się z nim spotykała bez żadnych zobowiązań. Czy nie powinien brać tego, co mu oferują, i po prostu ulżyć sobie? Żyć dniem dzisiejszym, cieszyć się chwilą? Nikt by go nie potępił...

Tymczasem uporczywie wracał myślami do jednej kobiety, dziecka nieledwie. Oczyma duszy widział jej pociągłą twarzyczkę, ciemnobłękitne oczy i burzę kasztanowych włosów. Dzisiaj, jak zwykle, upięła je w gustowny

koczek, ale raz czy dwa, gdy była jeszcze obłożnie chora, widział je rozsypane na poduszce... miękkie, jedwabiste i piekielnie kuszące.

- Nic z tego - powiedział do siebie. Nie będzie kalał własnego gniazda. Connie ledwie przestała być dzieckiem i jest uosobieniem niewinności. Widać jak na dłoni, że jest zupełnie nierozbudzona. Kiedy odda się mężczyźnie, to tylko z obrączką na palcu, co nie wchodzi w rachubę z jego strony, nawet gdyby wywodziła się z jego sfery.

Spojrzał ze złością przed siebie, ściągnął lejce, zawrócił konia i ostrożnie prowadził go w dół po pochyłości w mroźną, roziskrzoną dal.

- A niech to diabli! - warknął. Po Bożym Narodzeniu wszystko wróci do normy. Jedno jest pewne, że już nigdy nie zabawi się w Dobrego Samarytanina. Jeśli to, co czuje ostatnio, ma być nagrodą za dobry uczynek, to lepiej nie myśleć, jak wygląda kara za grzechy!

ROZDZIAŁ CZWARTY

Choć nastał już koniec maja, dopiero trzy tygodnie temu resztki śniegu zniknęły na dobre. Zima była surowa i długa, i wszyscy na farmie, poza nowymi mieszkańcami, narzekali z tego powodu. Tymczasem dla Connie, Flory i chłopców każdy dzień w ciepłym domku był niekończącą się przyjemnością. Co im tam wichury i zamieci, skoro można wrócić do przytulnego wnętrza, ogrzać się przy piecu i usiąść przy zastawionym stole!

Connie z radością obserwowała, jak jej rodzeństwo przybiera na wadze, jak świecą im się oczy, a policzki nabierają zdrowych barw. Wszyscy ciężko pracowali, ona w głównym domu, a Flora i chłopcy przy tysiącu i jednej robocie, których nie brakowało w gospodarstwie. Dni były długie. Connie wstawała o szóstej rano, przygotowywała w pośpiechu owsiankę i kanapki dla dzieci, które wstawały o wpół do ósmej i wyruszały w długą drogę do szkoły, by zaraz po powrocie brać się do pracy, którą bardzo rzadko udawało im się skończyć przed siódmą. Potem wspólnie jedli wieczorny posiłek, a kiedy dzieci szykowały się do łóżek, Connie siadała przy ogniu, szyła, naprawiała ubrania, cerowała skarpetki albo szydełkowała dywaniki do sypialni, i tak aż do jedenastej.

Ale wreszcie świeciło słońce i nagle przybyło roboty. Connie właśnie pomagała kobietom przy chmielu. Od paru dni spędzała sporo czasu na świeżym powietrzu. Jakby chcąc wynagrodzić ludziom i przyrodzie spóźnioną wiosnę, słońce grzało tak mocno, że przypiekało nosy i zaróżowiło policzki.

- No i co? Czyżbyś utraciła względy naszej pani?

Connie spojrzała na dziewczynę, która wypowiedziała te słowa. Ze wszystkich ludzi w gospodarstwie była to jedyna osoba, której nie lubiła. Alice

Todd, najstarsza córka Hannah i Waltera Toddów, często dawała do zrozumienia Connie, że ma za złe jej pracę w domu państwa, gdyż ta powinna przypaść jej, bo tutaj się urodziła i wychowała. Była bardzo ładną, wysoką osiemnastolatką o włosach koloru zboża i dużych zielonych oczach, i doskonale zdawała sobie sprawę ze swojej urody. Dla nikogo nie było tajemnicą, że upatrzyła sobie pana. Krążyła plotka, że zeszłego lata Walter musiał użyć na nią kija, bo przyłapał ją, jak zaczęła się na Luke'a Hudsona na drodze prowadzącej do farmy.

- Nie, nie utraciłam względów - odpowiedziała zwięźle Connie.

- To co tu robisz z nami, zamiast siedzieć u siebie? Trochę to podejrzan.

Connie już miała powiedzieć, żeby pilnowała swojego nosa, ale dla świętego spokoju ugryzła się w język.

- Pani Hudson uważa, że powinnam wiedzieć, co się dzieje na farmie i przysposobić się do różnych prac.

W rzeczywistości matka Luke'a powiedziała, że Connie powinna pobyć kilka dni na dworze i nabrać rumieńców, bo choć będzie jej brakowało w domu, to zdrowie jest najważniejsze.

- Proszę ja kogo! - Alice przekrzywiła zawadiacko głowę w charakterystyczny dla siebie sposób.

Connie nie podjęła wyzwania.

Kilka minut później, upewniwszy się, że kobiety pracujące przy chmielu nie słyszą jej, Alice podeszła znowu do Connie.

- Może ci się wydaje, że tym siedzeniem z panią wkupisz się w jej łaski? Tylko nie licz na to, że w ten sposób zwrócisz na siebie uwagę pana. Nie uda ci się, nie z takim pełnokrwistym mężczyzną jak on.

- Co takiego? - Connie popatrzyła na dziewczynę, z której zielonych oczu biła zazdrość. - Nie rozumiem, o co ci chodzi - powiedziała chłodnym głosem.

- Kogo jak kogo, ale mnie nie oszukasz tymi swoimi słodkimi minkami. A jeśli ci się wydaje, że pan kiedykolwiek spojrzy w twoją stronę, to grubo się mylisz. Czekać tatka latka.

- A dlaczego miałby na mnie spojrzeć? - zapytała obojętnym tonem Connie, zbijając tym Alice z tropu.

Nie na długo jednak, bo już po paru chwilach szepnęła jadowitym tonem:

- Nie mówisz mi, że nie chciałabyś zagrzać mu łóżka.

Tego już było za wiele. Connie zmierzyła ją wzrokiem i powiedziała głośno i dobitnie, by i reszta usłyszała:

- Nie sądz innych podług własnych wątpliwych zasad, Alice. A w ogóle to nie mam ci nic do powiedzenia. I radziłabym ci wrócić do pracy, za którą ci płacą, i nie przeszkadzać innym.

Jedna z kobiet podwiązujących pnącza chmielu podniosła głowę, najwyraźniej zainteresowana tym, co się dzieje. Alice zaczerwieniła się po uszy i zanim odskoczyła jak oparzona, rzuciła w stronę Connie mordercze spojrzenie.

Kontynuowała pracę, jednak słowa Alice nie dawały jej spokoju. Przywoływały na pamięć sny, które miała ostatnio, i w których zwracała się do pana Hudsona po imieniu...

Czyżby Alice domyślała się czegoś?

Nieemożliwe. Po prostu jest zazdrosna. Chciałaby przebywać w głównym domu, żeby znajdować się w pobliżu pracodawcy. A przecież to by jej nic nie dało. Gdyby pan Hudson postanowił ożenić się ponownie, na pewno jego wybranką byłaby kobieta z odpowiedniej sfery, jak jego zmarła żona. Choć z drugiej strony, jeśli to, co mówią o niej ludzie, jest prawdą, Alice niekoniecznie musi liczyć na małżeństwo.

Na Boga, przestań o nim myśleć! - nakazała sobie Connie.

Ilekróć go widziała, jej serce biło jak szalone, a praca u boku jego matki szła jak po grudzie. Zawsze, kiedy się pojawiał, była napięta do granic wytrzymałości.

Minęła kolejna godzina pracy, kiedy pojawiła się zdyszana Rose.

- Chodź szybko. Chodzi o panią. Byłyśmy w mleczarni, kiedy zasłabła. Pan pojechał po doktora i kazał ci powiedzieć, żebyś posiedziała przy niej do jego powrotu.

Kiedy wróciły biegiem do domu, Connie miała duszę na ramieniu. Musi być źle, skoro Luke udał się sam po doktora, zamiast posłać woźnicę z dwukółką. Ebony pokona odległość dwa razy szybciej.

Przedtem jednak wniósł matkę na górę, a Rose i Bess pomogły jej rozebrać się i położyć do łóżka

Connie była przerażona widokiem tej zawsze zażywej i energicznej kobiety. Jakby cała krew z niej odpłynęła, usta pośmiały, oddychała ciężko.

- Usiądź tutaj i dotrzyмай mi towarzystwa - powiedziała słabym głosem, wskazując miejsce u wezłowia łóżka. - To rozkaz pana. - Zawsze tak go tytułowała przy innych. - Zamknę oczy na chwilę. Jestem troszeczkę zmęczona, a krótka drzemka dobrze mi zrobi.

Poza stłumionymi odgłosami z farmy nic nie zakłócało ciszy. Słońce padało ukosem na podłogę, na której leżał duży dywan. Raz w tygodniu Connie posypywała wszystkie dywany fusami z herbaty, a następnie ścierała je szczotką razem z nagromadzonym kurzem. To była jedna z wielu rzeczy, których nauczyła ją pani Hudson.

- Póki będę leżała, zajmiesz się wszystkim? - zapytała, jakby czytała w jej myślach. - Poradzisz sobie, Connie?

- Tak... oczywiście - pośpieszyła z odpowiedzią. - Może pani na mnie liczyć.

- Dobrze gotujesz i potrafisz zarządzać domem. Jesteś zaradna i szybko się uczysz. - Mówiła tak, jakby miała pozostać w łóżku przez dłuższy czas.

Connie popatrzyła na poszarzałą twarz i posmutniała. Nagle zdała sobie sprawę, jak bardzo przywiązała się do matki Luke'a w ciągu tych sześciu miesięcy.

Doktor zbadał Maggie Hudson i potwierdził jej podejrzenia. Podał miksturę, po której zasnęła kamiennym snem. Właśnie zeszli z Lukiem do pokoju bawialnego, kiedy Connie wniosła tacę z kawą i karafką z brandy. Luke był biały jak ściana, więc pomyślała, że odrobina alkoholu dobrze mu zrobi.

- To serce - zawyrokował doktor, sięgając po filiżankę z kawą. - Zresztą podejrzewaliśmy to od pewnego czasu. I sama pani Hudson również, choć się do tego nie przyznawała.

- Jak się teraz czuje? - zapytał z troską w głosie Luke.

- Jest spokojna, a także pogodzona z faktem, że musi na siebie uważać. Na razie zaleciłem odpoczynek i pobyt w łóżku. Zależy mi na tym, Luke, żeby mama nie chodziła po schodach. Jeśli się posłucha, będzie jeszcze cieszyć się życiem, oczywiście z pewnymi ograniczeniami. Jeśli nie... - Potrząsnął głową.
- Ten atak nadwreżył jej serce. Czas pokaże, do jakiego stopnia, ale na dzień dzisiejszy najważniejsze jest, by nie wstawiała z łóżka. Czy potrafisz zadbać o to, żeby zachowywała się rozsądnie i nie rzuciła się w wir pracy, kiedy poczuje się lepiej?

- Możesz być pewny - zaręczył Luke, po czym spojrzał na Connie i dodał: - Rozumiesz, co to oznacza?

Pokiwała głową.

- Tak, proszę pana. Zajmę się domem i całą resztą.

- Bardzo liczę na twoją pomoc. Może zajrzyj do niej teraz, a ja porozmawiam jeszcze z doktorem Taggartem.

Po upewnieniu się, że chora nadal śpi mocnym snem, Connie zeszła do kuchni. Wszystko wyglądało tu jak spod igły. Pani Hudson nie cierpiała bałaganu. Weszła do dobrze zaopatrzonej spiżarni, rozejrzała się po półkach i otworzyła zimny składzik, w którym przechowywano mięso. Ugotuje zupę dla chorej, a dla Luke'a odkroi kilka plastrów szynki, usmaży jajecznicę i kartofle z cebulą.

Zupa gotowała się właśnie na wolnym ogniu, kiedy do kuchni wszedł Luke.

- Pomyślałam, że może pańska matka zje trochę zupy - wyjąkała.

- Dziękuję ci bardzo. Myślisz, że poradzisz sobie sama ze wszystkim, co dotychczas robiłyście razem z moją matką, jednocześnie opiekując się nią, nadzorując kobiety w mleczarni i prowadząc gospodarstwo?

Najwyraźniej nie wierzy, że sprostam tylu obowiązkom, pomyślała oburzona Connie.

- Oczywiście, że sobie poradzę - odpowiedziała z przekonaniem. To było łatwe w porównaniu z katorżniczą pracą na dwunastogodzinnych zmianach w wytwórni marynat. No, może nie łatwe, ale wykonalne, uściśliła.

- Ostrzegam, że moja matka nie będzie najłatwiejszą pacjentką, zwłaszcza kiedy poczuje się trochę lepiej. Bezczynność może doprowadzić ją do szału, a złość będzie próbowała wyładować na tobie. Taką już ma naturę. - Nie spuszczał oczu z Connie. - Nigdy nie potrafiła siedzieć z założonymi rękami.

- Więc zrobię wszystko, żeby tego tak mocno nie odczuła. - Uniosła lekko podbródek. Najwyraźniej Luke jej tu nie chce. A kogo by tu widział zamiast niej? Może Alice Todd z jej bujnymi kształtami i powłóczęstym, zachęcającym spojrzeniem?

- Sądysz, że ci się to uda?

Słyszając powątpiewanie w jego głosie, na moment zagryzła wargi, ale po chwili złość i poczucie krzywdy wzięły górę. Zaczęła mówić w sposób, na jaki nigdy by sobie nie pozwoliła w normalnej sytuacji:

- Już najwyższy czas, żeby mi pan zaufał i przyjął do wiadomości, że jestem silniejsza, niż na to wyglądam... a także bystrzejsza.

Oszłupiał. Nie zauważył dotąd tej strony jej charakteru, choć podejrzewał, że te wspaniałe kasztanowe włosy mogą wskazywać na krewki temperament, który dotąd skutecznie powściągała.

Chciał się do niej uśmiechnąć, ale spuściła głowę. Pewnie doszła do wniosku, że się zagalopowała, bo szybko dodała:

- Przepraszam.

Zachowując powagę, Luke pokiwał głową.

- W porządku. Będiesz wydawała polecenia innym kobietom w imieniu mojej matki, a czasami nawet mężczyznom. Od początku musisz wyrobić sobie autorytet i zachować dystans w stosunku do pozostałych. Poradzisz sobie z tym?

Wpatrywała się w niego przez chwilę, a kiedy się odezwała, jej głos zabrzmiał bardzo poważnie:

- Tak naprawdę nigdy nie stałam się częścią tutejszej społeczności.

Większość pańskich pracowników urodziła się tu i jest z panem od bardzo dawna. Tworzą zżyłą grupę, są ludźmi wsi, podczas gdy ja pochodzę z miasta. W pewnym sensie jestem dla nich obca.

- Czy ktoś zachował się wobec ciebie niegrzecznie? - Jeśli tak, będę musiał porachować się z nimi, pomyślał z przykrością.

- Nie, nie, wszyscy są dla mnie mili. - Poza Alice Todd, dodała w myśli.

Kiedy to mówiła, powieki jej drżały.

- Jesteś pewna, Connie? - naciskał. - Wolałbym wiedzieć, gdyby coś takiego miało miejsce.

- Wszyscy są dla mnie uprzejmi - powiedziała jeszcze dobitniej - ale niezależnie od tego mam świadomość, że jestem inna. Muszę się jeszcze dużo nauczyć, ale wiem, że potrafię poprowadzić dom i wszystko, czym zajmowała się pani Hudson, i myślę, że pańska matka nie zawiedzie się na mnie.

To prawda, że jest inna. Tak inna, jak inna jest róża w gąszczu pokrzyw. Takie myśli już przestały go niepokoić. Zdarzały się zbyt często. Od Nowego Roku, kiedy po raz pierwszy nieśmiało stanęła na progu tego domu, nie zaznał chwili spokoju. Sam się sobie dziwił, bo mimo iż z sobą walczył, wciąż o niej myślał. To było irytujące i cholernie niewłaściwe, ale coś takiego miała w sobie... Nie umiał tego nazwać, ale miała. No i nie myliła się w jednym. Choć wyglądała, jakby za chwilę miał ją porwać wiatr, pracowała za dwie i tym właśnie, a także uczciwością i lojalnością, owinęła sobie matkę wokół palca, co nie było wcale łatwe.

Buntując się przeciwko uczuciu, które przez cały czas trzymał w ryzach, powiedział spokojnym tonem:

- Wiem, że matka wolałaby ciebie w charakterze gospodyni, zamiast kogoś z folwarku. Zdaję sobie sprawę, że już nie będzie mogła pracować jak dawniej. Od śmierci ojca obserwuję powolne pogarszanie się stanu jej zdrowia, choć sama nie przyznaje się do tego. - Nie odzywała się. Po raz pierwszy rozmawiał z nią tak swobodnie i otwarcie. - No a... śmierć wnuka była dla niej prawdziwym ciosem.

- Tak, z całą pewnością. - Connie złagodziła ton głosu.

Dostrzegła ból w oczach Luke'a Hudsona. Ból i coś jeszcze, czego nie pojmowała, a co złożyła na karb cierpienia z powodu jego przeżyć związanych ze śmiercią żony i syna. Tak bardzo musiał ich kochać... co za strata...

- Oczywiście nigdy nie słuchała doktora ani mnie. - Zmusił się do uśmiechu. - A teraz nie ma wyboru.

Oderwała wzrok od jego ust i powiedziała łagodnie:

- Uważam, że pańska matka jest bardzo dzielną kobietą. Jest stanowcza i wymagająca wtedy, kiedy tego wymaga sytuacja. - Tak długo wpatrywał się w nią, że poczuła się nieswojo. Czy wyraża się zbyt poufale o jego matce? Czy jest zły za to, że wcześniej odezwała się do niego za ostro? - Ja... lepiej zajmę się zupą, o ile nie ma pan już do mnie więcej spraw.

- Słucham? Ach tak, tak. - Otrząsnął się, po czym, ku zdumieniu ich obojga, powiedział: - Moja żona i matka nigdy się nie zaprzyjaźniły. Matka starała się, jak mogła, ale...

- Och... - Zdumiona Connie zrobiła wielkie oczy.

Chciała coś powiedzieć, ale nie wiedziała co.

- Myślę, że to nie miało wpływu na pogorszenie stanu jej zdrowia. - Jego szare oczy prosiły o słowo pocieszenia.

- Jestem pewna, że nie. Uważam, że pańska matka jest bardzo silną osobą, zarówno fizycznie, jak i psychicznie. Może ten atak... może w ten sposób jej ciało sygnalizuje, że powinna zwolnić. W końcu to się zdarza każdemu - powiedziała cichutko.

Pokiwał głową, po czym odwrócił się, zamknął drzwi za sobą i tyle było go widać.

ROZDZIAŁ PIĄTY

- Och, wreszcie na dworze! Po tylu tygodniach leżenia w łóżku w zamkniętym pokoju. Jeszcze trochę, a bym zwariowała. Zresztą, dziecko, co ja ci będę mówiła, sama wiesz najlepiej.

Connie uśmiechnęła się do niej. Kiedy dziesięć dni po pierwszym ataku, podczas próby zejścia ze schodów w środku nocy po szklankę wody, o którą wystarczyło poprosić, nastąpił kolejny atak, doktor powiedział bez ogródek, że pani Hudson na własne życzenie opóźniła o parę tygodni powrót do zdrowia. Ale teraz była połowa upalnego sierpnia i Luke zniósł matkę na dół, posadził w ogrodzie przed domem i zostawił w towarzystwie Connie.

- Mój syn powiada, że to ty zleciłaś wykonanie tej ławeczki. - Maggie spojrzała na nią z uśmiechem. - I że sama uszyłaś te śliczne poduszki.

- Chciałam, żeby było pani wygodnie, kiedy zrobi się na tyle ładnie, że będzie można posiedzieć na dworze.

Maggie westchnęła, oparła głowę na nagrzanym słońcem oparciu i zatrzymała wzrok na skowronku, który poderwał się nagle znad soczystej zielonej trawy i poszybował w błękitne niebo, wyśpiewując trele.

- Kochanie, obie wiemy, że już nie wrócę do sił i nie będę w stanie robić tego, co dawniej, ale przestałam się tym martwić. Cieszę się, że mogę pobyc na dworze w taki poranek jak dziś i poczuć się bardziej sobą, a nie złożoną niemocą inwalidkę.

Connie położyła rękę na jej dłoni, a gest ten świadczył o tym, jak bardzo stały się sobie bliskie.

- Zrobiła pani ogromne postępy - powiedziała czule. - Naprawdę ogromne. Zdaniem doktora za parę tygodni będzie pani mogła wychodzić nawet codziennie.

Maggie potoczyła wzrokiem po ogrodzie.

- Tak tu pięknie. Podziwiam cię, że przy tylu zajęciach znalazłaś jeszcze czas na moje kwiaty.

- To była dla mnie wielka przyjemność. - Z lubością potoczyła wzrokiem po klombach, na których pachnące groszki i bratki, dzwonki i kocimiętki walczyły o pierwszeństwo. Na ażurowe treliAZE po obu stronach domu, obrosnięte kwitnącymi pnączami kapryfolium i powoju, i na delikatne kampanule sąsiadujące z metalicznie niebieskimi ostróżkami. Kwiaty kołysały się w ciepłym podmuchu wiatru. - Wcześniej nie miałam okazji zajmować się ogrodem, ale teraz rozumiem pani pasję.

- Czyż to nie koi duszy? - zapytała Maggie.

Jeszcze jak, pomyślała Connie. Tutaj mogła zapomnieć o mężczyźnie, który nigdy nie będzie jej.

Opita nektarem aksamitna pszczoła oderwała się od klombu i brzęcząc leniwie, odfrunęła.

Connie położyła na kolanach starszej pani książkę, którą wzięły do czytania.

- Pójdę sprawdzić, co słyhać w mlecarni, i zobaczę, jak rośnie ciasto na chleb. Kiedy włożę je do pieca, przyniosę pani filiżankę herbaty. Gdyby pani mnie potrzebowała wcześniej, proszę użyć tego dzwonka.

- Nie przejmuj się mną, kochanie. Odkąd jestem na dworze, czuję się świetnie. Rób, co masz zrobić, i nie zwracaj sobie mną głowy.

Connie weszła do środka, minęła pokój dzienny i hol, przeszła obok gabinetu pana domu i znalazła się w kuchni. Wiedziała, że Luke dołączy na

chwilę do matki. Wiedziała również, że nie zrobi tego, jeśli ona pozostanie w ogrodzie. Unikał jej.

Na początku choroby miała nadzieję, że Luke będzie z nią częściej rozmawiał, i tak było przez pierwsze trzy tygodnie. Ale już w ostatnim tygodniu, kiedy pani Hudson zaczęła wracać do zdrowia, zachowywał się coraz oficjalniej, natomiast w Connie narastało silne poczucie krzywdy, a także urażonej dumy. Powiedziała sobie, że stanie na wysokości zadania i będzie najlepszą gospodynią na świecie, nigdy jednak się nie zniży i nie będzie zabiegać o miłe słówko czy uśmiech. I trzymała się tego.

Po zajrzeniu do mleczarni i wydaniu poleceń dla Rose i Bess wróciła do kuchni. Wsunęła formy z chlebem do piekarnika, a następnie zabrała się do smażenia ulubionych racuszków pani Hudson. Właśnie zamieszała gęste ciasto i zamierzała położyć pierwszą łyżkę na rozgrzaną patelnię, kiedy do kuchni wszedł Luke.

Spłoszona, opanowała się szybko i odezwała się do niego uprzejmym, acz chłodnym tonem, takim, jakim zwracała się do niego w ostatnich dniach:

- Właśnie robię racuszki do herbaty dla pańskiej matki. Czy podać filiżankę dla pana, czy woli pan wypić w swoim gabinecie?

Wpatrywał się w nią. Miała na sobie niebieską lnianą sukienkę, którą uszyła z materiału ofiarowanego jej przez matkę. Zauważył, że matka lubi dawać prezenty Connie i jej rodzinie i traktuje ich inaczej niż pozostałych ludzi na farmie. To ona zasugerowała, żeby Flora i chłopcy przychodzili do ich domu na kolacje, by w ten sposób zaoszczędzić Connie osobnego gotowania dla rodzeństwa.

Pogrążony w myślach, dopiero po chwili zorientował się, że Connie czeka na odpowiedź.

- Tak, dziękuję ci, Connie, wypiję herbatę z matką w ogrodzie. Chciałem cię zapytać, jak twoim zdaniem mama czuje się teraz, kiedy już zeszła sama na dół. - To było kłamstwo. Chciał ją zatrzymać, by móc na nią patrzeć i czuć jej wzrok na sobie. - Czy na przykład nie ma trudności z oddychaniem? A może jest przygnębiona?

- Nie, nie ma trudności z oddychaniem. Jest szczęśliwa, że może posiedzieć w ogrodzie. Chyba pogodziła się z faktem, że musi zwolnić tempo, nawet gdy będzie już zupełnie zdrowa. - Coraz bardziej się ożywiała. - Myślę, że możliwość wychodzenia do ogrodu podniesie ją na duchu. Może Jacob mógłby zrobić stół i jeszcze jedną ławeczkę? Dzięki temu pańska matka mogłaby przyjmować tam gości, a nawet jeść posiłki, póki jest ładnie.

Jej troska o matkę powinna go cieszyć, a nie jątrzyć na nowo dawne rany w sercu. Przecież wiedział, że Connie jest inna niż Christabel, więc dlaczego jej coraz większy udział w ich życiu pogłębiał jego udrękę? Czuł, że jest niesprawiedliwy, że źle ją traktuje, ale nie był w stanie okazać prawdziwych uczuć.

- Jeszcze dzisiaj porozmawiam z Jacobem.

Connie pokiwała głową, zastanawiając się jednocześnie, jakie myśli chodzą mu po głowie. Nie ulega wątpliwości, że jest bardzo nieszczęśliwy. Każdy by był po utracie ukochanej kobiety i uwielbianego synka. Nieświadomie złagodziła głos, a w jej oczach zapaliły się ciepłe światelka:

- Myślę, że będzie coraz lepiej, a ja ze swej strony zrobię wszystko, żeby pańska matka nie przemęczała się, kiedy już na dobre zacznie chodzić.

Pańska, pan... Tak bardzo chciał, żeby zwróciła się do niego po imieniu. Ciężko mu to stałe przypominanie o dzielącej ich przepaści społecznej. Ale przecież sam stworzył tę przepaść. Och, może ten i ów miałby mu za złe, gdyby rzucił wyzwanie i wprowadził ją do tak zwanego towarzystwa. Nie

obyłoby się bez plotek i szeptania za jego plecami, a nawet półsłówek i chichotów za zamkniętymi drzwiami. Większość ludzi uznałaby najpewniej, że zwariował, wiążąc się z kobietą z „niższej sfery”, ale przecież nigdy nie przejmował się tym, co mówią inni. Byłby dotknięty jedynie wtedy, gdyby ona poczuła się zraniona, tak, co do tego nie miał wątpliwości.

- Connie... - zaczął i urwał raptownie.

Nie, nie zacznie rozmowy o tym, co jest między nimi. Bo przecież czuł całym sobą, że Connie żywi do niego coś więcej niż tylko wdzięczność. Ale gdy raz dotknie tego tematu, będzie chciał pójść o krok dalej, a w konsekwencji osiąść ją, ale nie w jakiś pokątny sposób. W jej przypadku w rachubę wchodziło małżeństwo lub nic. A to jest niemożliwe. Nie odsłoni się jak poprzednio, nie da się wykorzystać, a przede wszystkim nie pozwoli sobą manipulować.

- Tak? Słucham - przerwała milczenie.

- Nie, nie, to nic ważnego. - Potrząsnął głową, wyrwany z zadumy. - Pójdę i porozmawiam z Jacobem. - Może Connie nie ma w sobie nic z Christabel, ale przecież jego zmarła żona też była miła i słodka przed ślubem. Kobiety znają sposoby, żeby dopiąć swego. Wystarczy, że raz dał się nabrać. Wolałby raczej poderżnąć sobie gardło, niż jeszcze raz przeżyć to piekło na ziemi.

Odwrócił się i wyszedł z kuchni.

Kiedy dołączył do matki w ogrodzie, ta uśmiechnęła się do niego i wskazała wolne miejsce przy sobie.

- Chodź i posiedź trochę w słońcu. Ta ławeczka jest taka wygodna, że mogłabym przesiedzieć tu cały dzień. Nawet nie wiesz, jak dobrze się czuję, Luke.

- To zasługa świeżego powietrza. - Usiadł przy niej, prostując nogi. - Od razu lepiej wyglądasz.

- Wielka też w tym zasługa Connie. Tak się cieszę, że ją do nas sprowadziłeś. Zresztą sam wiesz najlepiej. Oni wszyscy, choć tacy młodzi, są niezwykle dobrzy i porządni. I potrafią pracować. Nie uważasz, że to miła rodzina?

Pokiwał głową. Matka często poruszała ten temat. Wiedział, że nie rozumiała jego zachowania wobec Connie. Już niejednokrotnie wypominała mu dystans i oziębłość w stosunku do niej.

Odczekał chwilę, po czym zaczął mówić o sprawach dotyczących farmy, wiedząc, że sprawi tym matce przyjemność. Zależało mu, żeby nie czuła się odizolowana od spraw bieżących. Byli zajęci rozmową, kiedy pojawiła się Connie z herbatą i racuszkami, które szybko podała i wróciła do domu.

Racuszki były pyszne. Wszystko, co piekła Connie, było pyszne. Nie mógł jej nic zarzucić.

I w tym leżał problem. Nikt nie jest aż tak doskonały. Po prostu w to nie wierzył.

Spojrzał na matkę, a ona przechwyciła jego wzrok.

- O co chodzi, Luke? Widzę, że coś cię dręczy.

Wolał nie mówić, co mu leży na sercu, bo gdyby to zrobił, matka bronilaby Connie do upadłego. Taka była - kiedy kochała, to całym sercem, a kiedy nienawidziła, to na całego. Znienawidziła Christabel po urodzeniu Jacka za to, że odrzuciła maleństwo, i nawet się z tym nie kryła. Nie ułatwiło mu to życia, ale rozumiał matkę.

- Czy już nie wolno spojrzeć na własną matkę? Nie, o nic nie chodzi... zamyśliłem się. Jadę po południu do miasta. Może coś ci kupić? Jakiś żurnal albo czekoladę?

- Nie, dziękuję - powiedziała obojętnym, prawie nieobecny tonem i zapatrzyła się na kwiaty, a po chwili dodała: - Ale porozum się z Connie. Ona będzie wiedziała.

Skrzywił się. Chciał powiedzieć: „Nie chcę pytać Connie. Pytam ciebie. I nie zapominaj, że Connie u nas pracuje, nic poza tym”. Ale właśnie przeniósł wzrok na stopy matki. Opuchlizna, która pojawiła się po pierwszym ataku, powiększyła się znacznie.

Odruchowo pochylił się i pocałował matkę w czubek głowy, a potem wstał i odszedł, nie do domu jednak, lecz do stajni. Osiodłał Ebony, przez moment zastanawiał się, czy nie pogalopować przed siebie, z dala od tego wszystkiego, ale wzywały go obowiązki.

Zajrzał do Jacoba i wydał mu polecenie, potem ruszył w stronę pól i popuścił cugle, dając koniowi sygnał do galopu.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Wyszły z Florą z głównego domu w słomkowych kapeluszach, obładowane koszami z jedzeniem i pićm. Była pora sianokosów i cała farma, od najmłodszych po najstarszych, pomagała w zbiorze trawy. Connie przez cały ranek przygotowywała dla nich jedzenie. Upiekła keks, który pokroiła na duże porcje, dołożyła do tego trójkątne kawałki domowego sera, a do picia miała piwo i herbatę, zaś dla dzieci mleko.

Lato było upalne, a zbiory udane, ale starsi ludzie czuli burzę w powietrzu, więc Luke kazał się wszystkim uwijać.

Prawie natychmiast wypatrzyła go na końcu pola. Górował wzrostem i posturą nad innymi kosiarzami. Zauważyła, że wsunął nogawki sztruksowych spodni do skórzanych butów z cholewkami, a białą koszulę rozpiął pod szyją i zawiął rękawy. Wcześniej musiał zdjąć kamizelkę i kapelusz.

Zaschło jej w gardle, a serce biło jak szalone, kiedy podchodziła do niego i Jacoba, którzy z pomocą maszyny ciągnionej przez konie zbierali gotowe snopki. Rozpięta koszula ukazywała czarny zarost na klatce piersiowej, równie miękki i obfity jak na ramionach, których potężne mięśnie przeżyły się pod cienką bawełnianą koszulą, gdy kierował masywnymi końmi rasy shire.

Wyglądał niewiarygodnie męsko.

Flora poniosła jedzenie na sąsiednie pole, a Connie zaczęła rozpakowywać swoje i podawać je gromadzącym się wokół niej ludziom. Na koniec podeszła do Luke'a, który przerwał pracę i położył się na trawie.

- W samą porę. - Jego szare oczy błyszczały w słońcu, kiedy uśmiechnął się do niej. - Zupełnie zaschło mi w gardle. - Wziął od niej jedzenie i dzbanek z piwem. - Usiądź i poczekaj, aż wszyscy skończą - powiedział, widząc, że za-

mierza odejść. - Zaoszczędzisz sobie chodzenia. Mamy jeden z tych rzadkich błękitnych i złocistych od słońca dni, które zdarzają się tylko o tej porze roku.

- Mój tata nazywał taki dzień rajskim dniem. Pracował pod ziemią i tylko w niedziele mógł oglądać słońce, choć uwielbiał przebywać na dworze.

Uważał, że w raju wszystkie dni będą podobne do takiego letniego dnia jak dziś, kiedy drzewa są najbardziej zielone, niebo najbardziej błękitne, a chmurki bielsze od śniegu.

- Doskonale go rozumiem, a swoją drogą takie odcięcie od światła musiało być dla niego trudne do zniesienia. Nigdy nie chciał robić czegoś innego?

- Mój dziadek i pradziadek byli górnikami, więc zgodnie z tradycją on także poszedł do kopalni. To się jakby samo zdecydowało. Mogę się tylko cieszyć, że Tommy, David i Ronnie nie muszą iść w jego ślady, chociaż tata zwykł mawiać... - Urwała zakłopotana, uświadamiając sobie, że rozmowa przybrała tak osobisty charakter, jakby byli z sobą zżyci od niepamiętnych czasów.

- Co mawiał twój ojciec? - dopytywał się Luke, który usiadł i pochylił się do przodu.

- Że w jeden dzień, który Pan Bóg pozwala mu spędzić nad ziemią, widzi więcej od tych, którzy przebywają na górze we wszystkie dni tygodnia.

Dodawał przy tym, że życie składa się z kontrastów. Nie ma odpoczynku bez znoju, pokoju bez wojny, dnia bez nocy, prawdziwej radości życia bez smutku, ale żeby to zrozumieć i docenić, trzeba tego chcieć i pragnąć. To znaczy... tak mówił - zakończyła niepewnie, uświadamiając sobie nagle, że Luke patrzy na nią w dziwny sposób.

Siedział nieruchomo, przez dłuższą chwilę nie odrywał od niej wzroku.

- A co, jeżeli stały trud albo ciemność nocy, albo... smutek przysłaniają wszystko i nie pozwalają dostrzec drugiej strony medalu? Co wtedy?

- Nie wiem - powiedziała, siląc się na spokój. - Ale w końcu każdy ma jakiś wybór.

- Tak uważasz? Naprawdę w to wierzysz?

- Tak, wierzę. Uważam, że póki żyjemy, mamy niezliczoną liczbę wyborów.

- Tak jak ty miałaś wybór, kiedy pracowałaś w tamtej fabryce? - Celowo udawał, że jej nie rozumie.

Odpowiedziała mu najspokojniej, jak umiała:

- Ale to było lepsze niż przytułek. I dziękuję za to Panu Bogu.

- Mimo wszystko nie pojmuję, jak po tym wszystkim, co przeszedł, potrafiłaś dojrzeć światełko na końcu czarnego tunelu. - Ton jego głosu był lekko pogardliwy, jakby z niej podkpiwał.

- Tego nie powiedziałam - zauważyła cichym, ale gniewnym głosem, jakby zapominając, że zwraca się do chlebobawcy i dziedzica majątku. - Nikt, kto choć raz widział przytułek od środka, nie powiedziałby tego... Jeżeli istnieje na ziemi jakieś miejsce pozbawione nadziei i radości, to właśnie tam. Ale powiem panu jedno. - Utkwiła w nim wzrok. - Już choćby dlatego, że nigdy nie musiał pan bać się takiego miejsca, powinien pan się cieszyć z każdego przeżytego dnia i dziękować za to losowi, niezależnie od tego, kim pan jest.

Przez długą chwilę mierzyli się wzrokiem, aż Connie, nie mogąc dłużej znieść napięcia, poderwała się na nogi i bez słowa odeszła, unosząc pusty kosz w drżących rękach. Co ją naszło, żeby tak się do niego odzywać? Chyba oszalała. A jeśli się obraził i wyrzuci ich z domu? Nie... tego nie robi. Ale jak

teraz spojrzysz mu w oczy? Powinna go natychmiast przeprosić. Nawet jego matka nie pozwoliłaby sobie wobec niego na podobny ton.

Szybkim krokiem dotarła do domu i zaszyła się w spiżarni, gdzie oparła się o zlew i wielokrotnie odtwarzała w pamięci tę rozmowę. Niepotrzebnie wzięła do siebie to, co powiedziała, i dlatego był wściekły, choć przecież nie kierowała tych słów do niego. Poza tym, że mówiła samą prawdę. Oczywiście dla kogoś, kto stracił żonę i dziecko, jej słowa mogły zabrzmieć okropnie, ale z drugiej strony trzeba umieć spojrzeć obiektywnie na własną, niemal luksusową sytuację w porównaniu z losem tych nieszczęsnych istot w przytułku... Jęknęła głucho. Przecież nie można porównywać intensywności ludzkiego cierpienia... Nie, nie powinna była tak z nim rozmawiać.

Do powrotu Flory Connie zdążyła się trochę uspokoić. Raz wypowiedzianych słów nie da się cofnąć, rozumowała, niosąc do ogrodu tacę z herbatą dla matki Luke'a. Postanowiła przestać się dręczyć, przynajmniej dzisiaj, kiedy czeka na nią jeszcze mnóstwo pracy. Musi przygotować jedzenie na jutrzejszą kolację, którą tradycyjnie w tym domu wydawano dla wszystkich na farmie nazajutrz po zakończeniu sianokosów. Zmierzchało, kiedy usłyszała wracającego do domu Luke'a. Zamiast pójść do siebie, skierował kroki w stronę kuchni. Connie odwróciła się w stronę drzwi i czekała. Żołądek podszedł jej do gardła.

- Dobry wieczór, Connie. - Miał opanowany i beznamiętny głos.

Ponieważ nie zapaliła jeszcze lamp naftowych, nie widziała wyrazu jego twarzy.

- Chciałam coś dodać w związku z tym, co powiedziałam wcześniej ... Przepraszam, jeśli powiedziałam coś niewłaściwego, ale mam zwyczaj mówić to, co myślę...

Umilkła, kiedy podniósł rękę.

- Wieczór jest piękny, więc wolałbym zjeść kolację na dworze... o ile nie sprawię tym zbyt wielkiego kłopotu. Gdzie są twoi bracia? Widziałem, jak schodzili z pola razem z innymi dziećmi. Nie są głodni?

- Flora i chłopcy jedzą zimną kolację w domku, proszę pana. Są zmęczeni i na pewno chcą szybko położyć się spać - odpowiedziała spokojnie, zastanawiając się, czy Luke wróci jeszcze do ich dzisiejszej rozmowy. Na pewno jest na nią zły, chociaż tego nie okazuje.

- A ty? - zapytał delikatnie. - Jesteś zmęczona?

- Ja? - zdumiała się. - Mam się dobrze.

- Pracujesz od rana do wieczora bez słowa skargi. - Kiedy nadal wpatrywała się w niego, nie wiedząc, co powiedzieć, dodał nagle: - Jadłaś już kolację?

Zamrugła.

- Jeszcze nie. Miałam dużo pracy...

- Więc może dołączysz do mnie? Byłoby głupio, gdybyś ty jadła tutaj, a ja sam na dworze.

Z wrażenia otworzyła usta. Przecież to nie wypada! Skąd taki pomysł, zwłaszcza po tym, co mu wcześniej nagadała? A jeśli ktoś ich zobaczy i pomyśli, że jest kimś więcej dla niego niż tylko gospodynią? Czy nie do tego właśnie Alice Todd czyni aluzje od dłuższego czasu? Na pewno będą ją podejrzewać o wszystko co najgorsze. Ludzie tacy już są. A przecież zależy jej na dobrej reputacji. Musi tylko znaleźć jakiś sensowny pretekst.

- Dziękuję - powiedziała opanowanym głosem. - Byłoby miło zjeść kolację na świeżym powietrzu po dniu spędzonym w kuchni.

- Pójdę się przebrać. Umawiamy się za pięć minut, dobrze?

Jeszcze przez parę dobrych sekund po jego odejściu wpatrywała się w miejsce, gdzie dopiero co stał. Co ją naszło? Przecież nietrudno było znaleźć wymówkę, więc dlaczego tego nie zrobiła?

Bo zależało jej na chwili spędzonej sam na sam z Lukiem Hudsonem. Zależało jej na tym, od kiedy zobaczyła go pierwszy raz. Nie łudziła się, że podobna sytuacja zdarzy się ponownie, tak jak nie łudziła się, że jego zaproszenie cokolwiek znaczy. Ale perspektywa wspólnej kolacji i przebywania w jego obecności była zbyt kusząca. Może tego pożałuje - a była prawie pewna, że tak będzie, jeśli ktoś ich zauważy - ale gdyby nie wykorzystwała jedynej okazji zesłanej jej przez los i nie spędziła jednej godziny w towarzystwie mężczyzny, którego kocha, żałowałyby jeszcze bardziej... Tak, choćby nie wiedzieć jak się wypierała, prawda jest taka, że go kocha. Kocha Luke'a Hudsona, z którym wszystko ją dzieli. Dlatego każdy najdrobniejszy odruch z jego strony wzbudza w niej takie emocje.

Osunęła się na krzesło. Miała rozpaloną twarz. Luke nie może się dowiedzieć, co do niego czuje. Jeszcze by pomyślał, że jest taka jak Alice Todd. Był dla nich taki dobry. Uratował ich od zagłady i pewnie umarłaby ze wstydu, gdyby doszedł do wniosku, że próbuje wykorzystać swoją pozycję w tym domu i dobre stosunki z jego matką.

Wstała i zaczęła przemierzać kuchnię, mobilizując się na to spotkanie. Musi się zachowywać najnaturalniej na świecie, jakby nic się nie zmieniło. Cieszyła się nawet, że w pewnym sensie będzie mogła pocieszyć tego osamotnionego człowieka. Była wręcz zadowolona z roli, która jej przypadła.

Zanim Luke zszedł na dół, zdążyła nakryć drewniany stolik w ogrodzie i wyjąć z duchówki roladę z mięsa. Odkroiła dużą porcję dla Luke'a, a mniejszą dla siebie, potem obłożyła je pieczonymi jarzynami.

Z niepokojem popatrzyła na swój talerz. Nie wyobrażała sobie, żeby mogła coś przełknąć. Miała ściśnięty żołądek, a serce waliło jej tak, jakby za chwilę miało wyskoczyć z piersi.

- Może coś zanieść?

Aż podskoczyła, kiedy tak nagle stanął w progu drzwi.

- Nie, nie, już prawie skończyłam - pośpieszyła z odpowiedzią.

Skinął głową. Wyglądał bardzo zmysłowo w białej koszuli i kamizelce. Poczula miły dreszczyk na plecach i zrobiło jej się gorąco. Jeszcze po wyjściu Luke'a z kuchni drżały jej nogi.

Kilka razy odetchnęła głęboko, poprawiła sukienkę i założyła za ucho kosmyk niesfornych włosów. Pomyślała, że wspomnienie kolacji spożytej sam na sam z Lukiem będzie musiało jej wystarczyć do końca życia.

Było już ciemno, gdy Connie dołączyła do niego. Spóźniony kos wyśpiewywał melodyjne trele, noc była ciepła, nad farmą świecił księżyc. Najłżejszy powiew wiatru nie zakłócał ciszy.

- Piękny wieczór po tak upalnym dniu.

- Piękny. - Wziął od niej talerz i wskazał na wino, które przyniósł. - Można nalać ci kieliszek? Czerwone wino pasuje do mięsa.

Chciała powiedzieć, że napije się wody, lecz zamiast tego, ponieważ był to zaczarowany wieczór, powiedziała:

- Dziękuję, z przyjemnością.

Przez chwilę jedli w milczeniu. Connie była zadowolona, że światło księżycy nie pada na jej twarz. Wino z jeżyn było ciężkie i aromatyczne. Rozgrzewało i pozostawiało przyjemną słodycz na języku. Nigdy wcześniej nie piła prawdziwego alkoholu.

- Potrafisz świetnie gotować. Nawet moja matka nie przyrządziłaby lepiej tego mięsa. - Ponownie napełnił swój kieliszek. - Powiem ci w tajemnicy, że

twoje jest nawet lepsze, tylko nie mów jej tego - powiedział niskim, gardłowym głosem.

- Jestem jej wdzięczna, że tak wiele mnie nauczyła. - Nie dodała, że zanim przybyła na farmę, jej doświadczenie kulinarne było na miarę ich finansowych możliwości i odpowiednie do więcej niż skromnych potrzeb. Za to w jej rodzinie nigdy nie brakowało miłości, tego bezcennego skarbu, którego nie kupi się za żadne pieniądze.

- Mogła cię nauczyć, bo jesteś pojętna i chętna.

- Pewnie każdy by się nauczył, mając do dyspozycji tak świetnie zaopatrzoną kuchnię.

- Będiesz zaskoczona, ale wcale nie każdy - rzucił nagle rozdrażniony.

Connie zdumiała się bardzo. Choć siedział w cieniu, dostrzegła dziwny błysk w jego oczach.

- Uwielbiam gotować, proszę pana - powiedziała po chwili, kiedy milczenie zaczęło już ciążyć. - Choć może nie zawsze na tyłu ludzi jak dzisiaj - dodała żartobliwie.

- Connie... - Urwał na moment. - Kiedy jesteśmy sami, tylko we dwoje, wolałbym, żebyś nie zachowywała się tak oficjalnie. Mam na imię Luke. Chciałbym usłyszeć je z twoich ust od czasu do czasu.

Jej świat zawirował. Pewnie Luke chce być dla mnie miły, właściwie zawsze jest miły, tylko czasami ukrywa to pod skorupą szorstkości, myślała gorączkowo. Ale tak czy owak jego propozycja jest niestosowna.

- Dziękuję - powiedziała z lekko opuszczoną głowę - ale mogłabym się zapomnieć, kiedy nie będziemy sami, i wyrwę się w nieodpowiednim momencie.

- Czy to ważne?

Nachylił się w jej stronę, był tak blisko, że widziała jego twarz w promieniu światła księżyca. Nie uśmiechał się.

- Tak sędzę - wyszeptała po chwili. - Ludzie... Ludzie mogą opacznie zrozumieć pańską łaskawość wobec mojej osoby.

- Nie rozumiem dlaczego. - Głos miał niski i gardłowy. - Sama kiedyś powiedziałaś, że jesteś inna niż oni wszyscy, i inna też jest twoja pozycja w naszym domu. Moja matka bardzo cię ceni.

Nie wiedziała, co odpowiedzieć, poza tym, że właśnie przez swoją miłość do niego nie może spełnić tej prośby. Wymawianie jego imienia byłoby dla niej zbyt trudne i czułaby się z tym okropnie.

Mijały sekundy, a on czekał na jej zgodę, której przecież nie mogła wyrazić.

- Nieważne - powiedział oschłym tonem i przesunął się w cień. - Zapomnij o tej rozmowie. Nie myślałem, że wprawię cię w zakłopotanie, nie miałem takiego zamiaru.

Wieczór był zepsuty, magia prysła, a Connie, której zbierało się na płacz, dziękowała w duchu za otaczającą ich ciemność. Udawała, że je, a gdy tylko Luke opróżnił swój talerz, podniosła się i powiedziała opanowanym głosem:

- Zaraz podam panu pudding, a potem chciałabym wrócić do Flory i chłopców, jeśli nie zrobi to panu różnicy. Kiedy mnie nie ma, potrafią dać jej się we znaki.

- Oczywiście, nie będę cię zatrzymywał.

Sięgnęła po talerz, który zamierzał jej wręczyć, i wtedy, przez przypadek, ich ręce się dotknęły. Connie odskoczyła jak rażona piorunem. Ale to było przyjemne uczucie - jakby w jej żyłach popłynął ciepły miód. Jąkając się, przeprosiła, zabrała talerze i uciekła do kuchni, tego swojego azylu, jakby diabeł deptał jej po piętach.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Dni, które nastąpiły potem, okazały się lepsze, niż się spodziewała. Unikała Luke'a i starała się nie zostawać z nim sam na sam. Stopniowo mijało jej zakłopotanie. On sam bardzo pomógł jej swoim zachowaniem, chłodnym i zdystansowanym jak zawsze. Gorzej było w nocy, kiedy nachodziły ją różne myśli. Szczerze mówiąc, oczekiwała żywszej reakcji z jego strony. Gdyby okazywał rozczarowanie, a nawet złość, wiedziałaby przynajmniej, że nie jest mu obojętna...

Z drugiej strony może to i lepiej, że tamten wieczór był tylko nic nieznaczącym epizodem w jego wypełnionym obowiązkami życiu, deliberowała, bo dzięki temu łatwiej jest jej pracować i opiekować się panią Hudson. Cokolwiek by powiedzieć, Luke jest uczciwym i hojnym pracodawcą, więc powinna dziękować Bogu, że się nimi zaopiekował i skrupulatnie wywiązuje się z tego, do czego się zobowiązał.

W końcu września udali się w dużej grupie do Sunderlandu na doroczny odpust w dniu świętego Michała. Wkrótce po przybyciu gromada powiększyła się o ludzi z farmy oddalonej o parę kilometrów od Hawthorn. Connie widywała ich w niedzielne ranki w parafialnym kościele na skraju Bishopwearmouth. Zdawkowy uśmiech i skinienie głową - to był cały jej kontakt z nimi.

Tym razem zabawiła z nimi dłużej. W pewnym momencie znalazła się w towarzystwie młodego człowieka, Reubena Longhursta, który z godną podziwu wytrwałością dotrzymywał jej towarzystwa. Nie zwracała na niego większej uwagi, choć ten wysoki blondyn z błyskiem w oku nie krył, że się w niej

zadurzył. Chociaż fakt ten podniósł ją na duchu, pilnowała się, żeby go nie zachęcać i niczego nie obiecywać.

Pod koniec dnia stwierdziła, że dobrze się bawiła. Reuben potrafił ją rozśmieszyć i traktował z najwyższym szacunkiem, a do tego sprawił, że poczuła się ładna i beztroska.

Alice Todd nie ukrywała faktu, że interesuje się starszym bratem Reubena, więc gdy zegnali się na rozstaju dróg, Reuben zaproponował spotkanie we czwórkę w następną niedzielę.

- Czy gdybyśmy przyszli po was z Bartem, byłbym mile widziany, Connie?

Zaczerwieniła się po uszy i zniżając głos do szeptu, żeby inni jej nie słyszeli, odpowiedziała:

- Lubię cię, Reuben, naprawdę cię lubię, ale nie... nie w taki sposób. Tylko jak dobrego znajomego. Nie gniewaj się.

- Czy jest ktoś inny? - zapytał delikatnie, nie kryjąc rozczarowania. - Mam na myśli kogoś, kogo naprawdę lubisz.

- Nie. Tak. To znaczy... - To wszystko nie miało sensu, ale ponieważ ją zapytał, musiała odpowiedzieć. - Tak, jest ktoś, kogo lubię, tylko że on nie odwzajemnia mojego uczucia - powiedziała zażenowana.

- Niemożliwe!

Autentyczne zdumienie w jego głosie i w spojrzeniu niebieskich oczu spłynęły jak balsam na serce Connie. Uśmiechnęła się do niego. Był miły, naprawdę miły i niejedna dziewczyna chętnie poszłaby w jego ramiona, ale... nie był Lukiem.

- Przykro mi - odrzekła. - Czułabym się nie w porządku, dając ci jakąś nadzieję.

- A co byś powiedziała, gdybyśmy poszli w niedzielę na spacer jako znajomi? - rzucił szybko, gdy reszta towarzystwa zaczęła się oddalać. - Tylko jako znajomi. Jeśli chcesz, przyprowadź Florę i braci. Mnie to nie przeszkadza. A ja zaproszę kilku chłopaków i parę dziewczyn. Dobrze?

Przyjrzała mu się podejrzliwie.

- Dlaczego tak ci zależy, skoro wiesz, że nie zmienię zdania?

- Bo dobrze się czuję w twoim towarzystwie i myślę, że było nam razem wesoło. Mogę się mylić, ale odniosłem wrażenie, że nieczęsto masz okazję do dobrej zabawy. Chciałbym, żebyśmy zostali przyjaciółmi, jeżeli nie może być inaczej. Mówię poważnie, Connie.

- Nadal wydaje mi się to nieuczciwe wobec ciebie.

- Kiedy ja naprawdę mówię poważnie. Jeśli chcesz, wybierzmy się gdzieś na próbę. Będzie nas cała paczka. Niektórych poznałaś już dzisiaj, wszyscy jesteśmy kumplami. Każdy potrzebuje przyjaciół, Connie. Dzięki temu świat się kręci. - Nie zdążyła zaprotestować, kiedy odwrócił się, pobiegł za grupą i zawołał przez ramię: - A więc do niedzieli.

- Z kim i dokąd wybiera się Connie? Luke wpatrywał się w matkę, a Maggie Hudson powtarzała cierpliwie:

- Idzie po lunchu na spacer z kilkoma znajomymi. Zostawi mi w kuchni podwieczorek na tacy i zimną kolację dla nas obojga, w ten sposób będzie mogła zabawić się trochę. Wszystko już zostało uzgodnione.

- I uważasz, że to jest w porządku?

- To jest jej wolne popołudnie, Luke. Ma do tego prawo. I nie patrz tak na mnie. Chyba nie będziesz jej żałował paru godzin wolności.

- A co to niby za znajomi? - wycodził Luke. - Jak się nazywają i skąd pochodzą?

- Z tego co wiem, są to jacyś młodzi ludzie ze Stone Farm.

Skrzywił się. Młodzi ludzie... Connie jest niewinna i naiwna jak dziecko, w przeciwieństwie do niektórych tutejszych dziewcząt, które robią słodkie oczy na widok mężczyzny. Taka na przykład Alice Todd. A chłopakom tylko w to graj!

- Powinnaś była ją zatrzymać - rzekł opryskliwie. - To mi się wcale nie podoba.

- Zatrzymać ją? Jakim prawem miałabym jej wzbraniać widywania się z rówieśnikami? Nie przyszło ci do głowy, że Connie jest już dojrzałą dziewczyną, a raczej młodą kobietą, która na dodatek przez większą część życia dźwigała zbyt duży ciężar na swoich barkach? Nie widuje prawie nikogo poza nami, co wcale nie musi być dla niej zabawne. A poza tym, jak już powiedziałam, to jest jej wolne popołudnie, z którym może robić, co jej się żywnie podoba.

- Jakoś nigdy dotąd nie zależało jej na wychodnym - upierał się Luke. - Poza tym nie znamy tych ludzi. - Dopiero teraz zorientował się, że matka dziwnie na niego spogląda.

- Connie jest śliczną dziewczyną - powiedziała po chwili. - Może ma wielbiciela. A jeśli jeszcze nie ma, to tylko patrzeć, kiedy to nastąpi. A ten, którego wybierze, będzie prawdziwym szczęściarzem. Takie jest moje zdanie. Luke wytrzeszczył na nią oczy.

- Ona jest jeszcze na to za młoda!

- Co ty opowiadasz. W przyszłym roku kończy osiemnaście lat.

- Jak uważasz, ale jeśli ktoś ją wykorzysta, będziesz ją miała na sumieniu! - krzyknął Luke i wypadł z sypialni matki jak burza.

Maggie jeszcze jakiś czas patrzyła za nim, a potem powiedziała do siebie:

- A więc to tak. No cóż, miejmy nadzieję, że coś postanowi, zanim będzie za późno.

Ale jej głos nie brzmiał zbyt pewnie.

Po powrocie z kościoła Connie zabrała się szybko za przygotowanie kolacji. Luke zastał ją w jadalni, gdzie nakrywała stół dla niego i jego matki.

- Rozumiem, że po lunchu zamierzasz wyjść z domu i nie wrócisz do końca dnia - rzucił niby mimochodem, lecz marnie mu to wyszło.

Zdumiała się. Co go tak wzburzyło? Jeszcze nigdy nie widziała go w takim stanie. Chyba nie ma jej za złe, że bierze sobie wolne? Pani Hudson nie miała nic przeciwko temu, nawet ją namawiała. A jednak coś go zdenerwowało.

- To prawda. Zostawię na tacy podwieczorek dla pańskiej matki, a zimną kolację znajdzie pan w...

- A jeżeli moja matka będzie cię potrzebowała, a ciebie nie będzie?

- Co takiego? - Popatrzyła na niego z niedowierzaniem.

- Powiedziałem... - przerwał, po czym niegrzecznym tonem wycedził to samo zdanie, słowo po słowie.

Connie zeszywniała. Ma jej za złe, że chce wyjść! To o to chodzi! Ale jakim prawem? Od prawie roku nie ruszyła się stąd na krok i jest na każde zawołanie pani Hudson! I jego też!

- Zakładam, że pan będzie na miejscu, gdyby pańska matka czegoś potrzebowała - powiedziała oschle.

- Naprawdę? I nie uważałaś za stosowne uzgodnić tego najpierw ze mną? Choćby dla przyzwoitości?

- Niedzielne popołudnia należą do mnie. Myślałam, że to zostało uzgodnione. - Sztywna jakby połknęła kij, z poczuciem krzywdy, rzekła

lodowatym tonem: - To był powód, dla którego uznałam, że nie muszę niczego uzgadniać.

- A więc dobro mojej matki się nie liczy!

- Sam pan wie najlepiej, jak bardzo dobro pańskiej matki leży mi na sercu. Daję temu wyraz każdego dnia. - Nigdy nie była jeszcze taka zła na nikogo. Nie obchodziło jej, że jest ich mężem opatrnościowym. Nie pozwoli się zastraszyć! - A pani Hudson jest zadowolona, że skorzystam z wolnego popołudnia, zwłaszcza że robię to po raz pierwszy.

- Moja matka nie jest panią na tej farmie.

- Wiem o tym, ale to pan zdecydował o moim wychodnym - zripostowała błyskawicznie.

Podczas krótkiej przerwy, kiedy mierzyli się wzrokiem, do jadalni weszła Flora. Przemknęła chyłkiem obok Luke'a, a potem, zanim zniknęła w spiżarni, odwróciła się i z nieskrywanym zdumieniem popatrzyła na nich. Jeszcze tylko brakuje, pomyślała Connie, żeby chłopcy byli świadkami tej przykrej sceny.

Przygryzła usta, zanim zapytała ponurym głosem:

- Czy mam rozumieć, że nie mogę wyjść?

Był zły na siebie, wiedział, że nie ma racji i zachowuje się niemądrze, ale ta świadomość jeszcze bardziej go rozjątrzyła.

- Rób, co uważasz za stosowne - odpowiedział lakonicznie.

- Skoro tak, to spotkam się ze znajomymi. - Jeszcze nigdy nie odzywała się do nikogo tak ostrym tonem. - Odtąd zamierzam wychodzić w każdą niedzielę, oczywiście o ile pańska matka będzie dobrze się czuła.

- Daruj sobie te uprzejmości - rzucił kwaśno, odwrócił się i wyszedł.

Connie oparła się o brzeg stołu, bała się, że nie utrzyma się na nogach. Drżała, była biała jak kreda i tylko na policzkach widniały dwie purpurowe plamy.

Zachował się strasznie i haniebnie. Nienawidziła go. Jak mogła choć przez chwilę uważać, że go kocha? Chyba zwariowała. Jest brutalny i arogancki jak mało kto.

Poszła do kuchni, opadła na krzesło, położyła głowę na ramionach i rozpłakała się. Jak przez mgłę słyszała krzątającą się za drzwiami Floreę, potem poczuła jej rękę na swoim ramieniu, wreszcie, jeszcze przed pojawieniem się braci, wzięła się w garść.

- Burza w szklance wody, nic więcej - powiedziała, wycierając twarz chustką. - Uwińmy się zanim przyjdą ci ze Stone Farm. Pani Hudson zejdzie tu lada chwila, a kiedy ją obsłużymy, musimy jeszcze coś przekąsić.

- Jesteś pewna, że chcesz wyjść, Connie?

- Najzupełniej - powiedziała z całą stanowczością. - Poza tym od dzisiaj wszystkie moje wolne popołudnia będziemy spędzać w rodzinie. Powinnam była już dawno o tym pomyśleć.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Październik minął względnie spokojnie. Ach, prawda, pierwsze oddziały brytyjskie powracające do domu po zakończeniu wojny burskiej powitano triumfalnie jak bohaterów, torysi ponownie zostali wybrani przeważającą liczbą głosów, a wielu ludzi straciło życie w wyniku powodzi, które szczególnie dotkliwie dały się we znaki na północy kraju, ale to wszystko nie miało wielkiego wpływu na życie na farmie, tyle tylko, że pastor napomykał o tych wszystkich zdarzeniach podczas niedzielnych kazań. Działy się one jednak jakby poza świadomością Connie, której nie opuszczało przygnębienie.

Na dobrą sprawę nic się nie zmieniło. A właściwie wszystko. Nazajutrz po sprzeczce Luke czekał na nią w kuchni i wygłosił krótką mowę, w której przeprosił ją za ostre słowa i zapewnił, że niedzielne popołudnia należą do niej. I tak też było. Często widywała go z daleka, kiedy wracała z rozbawioną grupą na farmę w niedzielne wieczory, ale nigdy nie zwracał na nich najmniejszej uwagi.

Chmury burzowe i deszcze ustąpiły miejsca listopadowym przymrozkom i gęstym porannym mgłom, a w grudniu nastąpiła sroga zima.

Bywały dni, kiedy zaspy śnieżne odcinały ich od świata, a dzieci, ku uciesze Tommy'ego, Davida i Ronniego, nie chodziły do szkoły. Flora wzięła na siebie obowiązek lektorki pani Hudson. Spędzały z sobą wiele godzin przy kominku i zbliżyły się bardzo do siebie. Od czasu do czasu do pokoju wślizgiwali się chłopcy i siedzieli u stóp starszej pani cichutko jak myszki.

Luke zaglądał czasem, nie wiedziała jednak, co sądzi o takiej poufaleści z matką. Zachowywali się wobec siebie poprawnie, ale porozumiewali się monosylabami.

Kiedy zasy sięgnęły czubków płotów, skończyły się spotkania z Reubenem i resztą paczki ze Stone Farm, ale Connie nie przejęła się tym faktem.

W pierwszą niedzielę grudnia zima nagle odpuściła nieco. Nadal leżało dużo śniegu, a lód był gruby, ale przez parę dni nie sypało. Odsnieżono ścieżki, wydeptano nowe na polu i wokół folwarku, a poranne słońce zamieniało kryształowobiały świat w prawdziwą bajkę.

Connie dokarmiła małego rudzika, który co rano przychodził pod kuchenne drzwi i zdarzało się, że jadł jej z ręki.

Wczoraj wieczorem zapomniała zalać wodą płatki na owsiankę dla Luke'a i pani Hudson, więc wcześniej niż zwykle udała się do kuchni głównego domu. Ledwie tam weszła, gdy za oknem pojawił się rudzik i zabawnie zatrzepotał skrzydełkami.

Otworzyła okno i uśmiechnęła się do swojego pupila.

- Co ty tu robisz? Jeszcze jest ciemno i wszyscy śpią, więc i ty mógłbyś schować łeppek pod skrzydło, jak inne ptaszki. A może zobaczyłeś, że zapaliłam lampę i postanowiłeś zmienić porę śniadania? Zaczekaj.

Odwróciła się i zaniemówiła z wrażenia. Luke stał tuż za nią. Oszołomiona, cofnęła się gwałtownie i poślizgnęła na wilgotnej plamie powstałej z topniejącego śniegu, który naniosła. Luke wyciągnął ręce, by ją złapać i uchronić przed upadkiem.

Trzymał ją wciąż w uścisku, mrużąc lekko oczy.

- Co... co pan tu robi? Jest... jest tak wcześnie - wydukała, czując się bardzo nieswojo w jego ramionach.

- Mógłbym zapytać cię o to samo - odparł łagodnie, wpatrując się w jej usta. - Przyszedłem po filiżankę herbaty. A ty?

- Zapomniałam namoczyć płatki na owsiankę. - Cofnęła się odrobinę, a on natychmiast ją puścił.

- Przecież mogliśmy zjeść coś innego.

- Ale pan lubi owsiankę.

Patrzyli sobie w oczy, stali tak blisko, że czuli na twarzach swoje oddechy, a potem Luke z zakłopotaniem przeciągnął ręką po włosach. Nie ogolił się tego ranka, a Connie dopiero teraz zauważyła, że trochę zmizerniał. Z zaostrozonymi kośćmi policzkowymi wygląda jeszcze przystojniej i bardziej męsko.

- Chciałem z tobą porozmawiać, ale...

Zaschło jej w ustach, zwilżyła językiem dolną wargę. Jego oczy śledziły to uważnie. Przełknęła z trudem, zanim powiedziała:

- Ale o czym? O co chodzi?

- Nie wiedziałem, jak zacząć... co zrobić, żeby... - machnął ręką... - naprawić sytuację. To trwa już za długo.

Nie wiedząc, co powiedzieć, odwróciła się i sięgnęła po puszkę z ciastem, otworzyła pokrywkę, rozkruszyła trochę keksu, wróciła do okna, by podać na rękę smakołyk rudzikowi. Ptak porwał część okruszków, sfrunął na parapet i spałaszował porcję, potem wrócił do jej ręki po repetę. Kiedy całe ciastko znikło, ptaszek przechylił łeppek, podziękował ćwierkaniem i tyle było go widać.

Luke przysiadł na brzegu kuchennego stołu. Emanował tężyzną i wydał jej się bardziej atrakcyjny niż zwykle. Podeszła do pieca i zaczęła mieszać owsiankę.

- Podać panu herbatę? Woda się zagotowała.

- Poproszę. - Ani na moment nie odrywał od niej oczu, kiedy nalewała esencję do dwóch filiżanek, dodawała mleko i cukier, a potem postawiła jedną przed nim.

- Byłem niesprawiedliwy wobec ciebie - powiedział nagle, przyszpilając ją wzrokiem.

Usiadła na drugim końcu stołu, wiedząc, że dłużej nie ustanie na drżących nogach.

- Nie rozumiem - wykrztusiła.

- Że byłem niesprawiedliwy, zaślepiony i uparty. Co tu jest do rozumienia? - zapytał łagodnie. - To normalne, że chcesz przebywać z ludźmi w swoim wieku. Jesteś młoda, masz przed sobą całe życie. Zachowałem się prostacko, robiąc tyle szumu wokół tej sprawy. - I dodał po chwili: - Właściciel gospodarstwa ze Stone Farm powiada, że ten Reuben to dobry pracownik i człowiek z zasadami.

- Och... - Otworzyła szeroko oczy.

Dowiadwał się o Reubena? Pytał o niego gospodarza?

- Flora rozmawiała z moją matką - szybko wyjaśnił Luke, widząc zdziwienie na jej twarzy - kiedy przebywały razem. Chciałem tylko się upewnić, czy ten człowiek ma dobry charakter, to wszystko. Młodzi ludzie bywają... bezczelni, a ty nie masz doświadczenia. Niepokoilem się, że znajdziesz się w sytuacji, z którą sobie nie poradzisz.

A więc Luke uważa, że ona i Reuben...

Connie spłonęła rumieńcem. Do tego mówi o tym tak, jakby sam był stary, chociaż kończy w tym roku dwadzieścia dziewięć lat, więc daleko mu do sędziwego wieku.

- Zaszło nieporozumienie - pośpieszyła z wyjaśnieniem. - Reuben jest tylko moim dobrym znajomym.

Widząc błysk w oczach Luke'a, pomyślała, czy przypadkiem jego zwykle opanowana i chłodna twarz nie jest tylko maską.

- Ale podobno on myśli o tobie poważnie i jestem pewny, że wkrótce wyjawí swoje uczucia.

- Już to zrobił. Powiedziałam mu, że traktuję go tylko jak dobrego znajomego i nic ponadto - zareagowała gwałtownie. - Nie zwodziłam go i już na samym początku naszej znajomości powiedziałam mu... - Urwała raptownie, świadoma, że omal się nie wygadała. - Powiedziałam mu, że możemy być tylko przyjaciółmi - zaznaczyła dobitnie.

Nie odrywał od niej oczu. I znów zobaczyła w nich coś, czego nie potrafiła nazwać, a co było na tyle intensywne, że serce zabiło jej mocniej, a krew zaczęła szybciej krążyć.

Lubi mnie, olśniło ją nagle, i w jednej chwili różne drobne fakty z całego roku ułożyły się w całość. Oczywiście, że jest tylko jego gospodynią, a on panem ogromnego gospodarstwa, ale gdyby sprawy ułożyły się inaczej, gdyby należała do tej samej sfery,..

Nie była pewna, czy zdał sobie sprawę, że twarz go zdradziła. Nie wiedziała, co powiedzieć, więc upiła łyżeczek herbaty. Dużo by dała, żeby wiedzieć więcej o mężczyznach, co sprawia, że myślą i zachowują się tak, a nie inaczej.

Nie, poprawiła się, nie chodzi o mężczyzn w ogóle, chodzi o tego jednego. Chciała powiedzieć, że go kocha i że nikt nigdy mu nie dorówna. Zapewnić, że nie oczekuje od niego niczego, bo zadowala ją rola, którą pełni w jego domu, rola, dzięki której stała się częścią jego życia. Tylko że to nie będzie trwać wiecznie. Pewnego dnia, kiedy zacznie zabiegać o względy kobiety ze swojej sfery, kiedy ożeni się ponownie, ona, kochając go tak, jak go kocha, będzie musiała opuścić farmę.

- Connie, muszę ci coś powiedzieć.

Podszedł do niej i delikatnie pomógł jej wstać, ujął ręką pod brodę i zmusił, żeby na niego patrzyła.

- Tak... słucham... - wyszeptała.

Coś jej mówiło, że to, co usłyszysz, sprawi jej przykrość.

- Znane ci są zapewne okoliczności mojego małżeństwa i śmierci mojej żony - powiedział spokojnie, świadomy krążących plotek. - Uważa się powszechnie, że jestem pogrążonym w żałobie wdowcem, a tymczasem to tylko część prawdy. Christabel nigdy nie powinna zostać moją żoną. Byłaby znacznie szczęśliwsza, gdyby pozostała do końca życia uwielbianą i rozpieszczaną córką swoich rodziców. Małżeństwo... mierziło ją. Ja ją mierziłem. Wiedzieliśmy już po paru dniach, że popełniliśmy kolosalny błąd, ale stało się. Miała męża, który oczekiwał od niej czegoś, co uważała za obrzydliwe, a ja miałem żonę, która była wytworem mojej wyobraźni. Potem urodził się nasz syn.

Connie stała nieruchomo, przerażona bezmiarem cierpienia malującego się na jego twarzy.

- Znasz dalszy ciąg tej historii. - Puścił ją, rozprostował ramiona i z opuszczoną głową zacisnął dłonie na brzegu stołu. - Gdyby można było to cofnąć... Mój synek umarł, a wraz z nim odeszła część mnie. Zmieniłem się, nie lubię siebie takiego, ale nie potrafię nic z tym zrobić. I nie stanę się inny. Nie nadaję się na towarzysza życia, Connie. - Uniósł głowę i popatrzył na nią. - Rozumiesz, co chcę powiedzieć?

- Gdyby... gdyby pan poznał kogoś innego, kogoś, kogo by pan pokochał, pana życie mogłoby się zmienić.

- Spotkałem kogoś, kogo mógłbym pokochać. - Wyprostował się. - Powinnaś to wiedzieć. I walczę z sobą od chwili, kiedy ujrzałem cię po raz

pierwszy. Ale ty zasługujesz... potrzebujesz kogoś w swoim wieku... kogoś, kogo nie przesładują widma przeszłości. Kogoś, kto wniesie radość w twoje życie. Powinienem znacznie wcześniej pokonać w sobie małostkowość i zazdrość i życzyć ci szczęścia. Jest mi przykro. Przepraszam.

Zapomniała o dobrych manierach, które głoszą, że grzeczne panienki nigdy nie biorą inicjatywy w swoje ręce. Wiedziała tylko, że Luke ją kocha, ale wyrzucił też z siebie jednym tchem, że powinna znaleźć sobie innego, a on trzymać swoją miłość na wodzy. I nie dlatego, by uważał ją za kogoś stojącego niżej od siebie czy też przejmował się tym, co mogliby powiedzieć inni o ich związku.

- Niepotrzebnie mnie pan przeprasza. - Stała koło niego. - Kocham pana. Wiem, że nigdy nie pokocham nikogo innego...

- Nie. - Potrząsnął głową. - Jesteś młoda. Spotkasz kogoś. Dopiero wchodzisz w życie, podczas gdy ja czasami czuję się jak starzec.

- Proszę nie traktować mojego uczucia jak kaprysu i nie zasłaniać się moim młodym wiekiem. - Po raz pierwszy tego ranka w rozmowie pojawił się pogłos gniewu. - Poza tym wcale nie jest pan stary, tak jak nie jest pan jedyną osobą, która czuje się stara wewnątrz. To nie wiek wpływa na nasz umysł i duszę.

Wpatrywał się w nią, cofnął się o krok, żeby nie ulec pokusie, ale Connie nie ustępowała.

- Kocham pana. Naprawdę kocham i nie ma dla mnie znaczenia, jaki pan bywa czasami. Przy mnie odzyska pan nadzieję i zaufanie i wszystko, o czym pan mówił. Wiem, że mogę tego dokonać. Miłość może zwyciężyć wszystko.

- Mówisz jak dziecko.

- To lepsze od tego, co pan mówi.

- Być może, ale twoje uczucia mogą się zmienić. Pewnego dnia popatrzysz na mnie z przerażeniem, kiedy się zamkną drzwi naszej sypialni i wpadniesz w panikę, w histerię... Małżeństwo to w dużym stopniu związek fizyczny, a nie romantyczne bujanie w obłokach. A ja jestem mężczyzną z krwi i kości.

- Dobrze to rozumiem - powiedziała poważnie. - I nie jestem Christabel.

- Nie masz pojęcia, do czego zobowiązuje małżeństwo. No bo skąd mogłabyś wiedzieć! Czas, zanim śmierć nas rozłączy, może dla niektórych trwać cholernie długo.

- Więc pan uważa, że pana nie Kocham?

- Myślę, że poniosła cię wyobraźnia, ale dziewczęce urojenia mają niewiele wspólnego z twardą rzeczywistością. Miłość trzeba pielęgnować, podtrzymywać.

- Pan mi nie ufa. - Popatrzyła na niego głęboko zranionym wzrokiem. - Pan nie wierzy w stałość mojego uczucia.

Zasepił się.

- Nie wierzę w miłość - mruknął.

Nie, to nie może być prawda! Connie chciała za wszelką cenę dotrzeć do niego, znaleźć właściwe słowa, które wyrażą, co do niego czuje, a zamiast tego, wiedzona instynktem, stanęła na palcach, położyła ręce na jego ramionach i przyłgnęła wargami do jego ust.

Już myślała, że nie doczeka się reakcji, lecz nagle porwał ją w ramiona, przycisnął do siebie i w żarliwym pocałunku zawarł całą frustrację i pożądanie.

To był jej pierwszy pocałunek w życiu. Onieśmielona i niepewna, stopniowo coraz bardziej się otwierała. Wtuliła się w Luke'a, objęła za szyję, odchyliła głowę i chłonęła tę zaczarowaną chwilę z zamkniętymi oczami.

Kołysali się w migoczącym świetle lampy naftowej, kiedy nagle Luke poderwał głowę.

- To szaleństwo... szaleństwo - szeptał stłumionym głosem, odsuwając ją od siebie.

- Nie dbam o to.

- Ale ja muszę. - Odgarnął gwałtownym ruchem włosy z czoła. - Muszę - powtórzył, potem odwrócił się i niemal wybiegł z kuchni.

Oszołomiona i drżąca Connie stała nieruchomo, nie mogąc uwierzyć, że ją zostawił. Potem rozejrzała się wkoło, a wszystkie znajome sprzęty wydały się jej obce i odległe. Ocknęła się, dopiero kiedy mocny zapach podrażnił jej nozdrza. Rzuciła się do pieca, by ratować przypalającą się owsiankę.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Nazajutrz rano okazało się, że Luke wybrał się o świcie na konną przejażdżkę. Connie zrezygnowała z pójścia do kościoła, żeby być w pobliżu Maggie Hudson, która tego dnia nie czuła się najlepiej.

Nakrywały z Florą do stołu w jadalni, kiedy wrócił Luke i dołączył do matki. Posłała siostrę, żeby ich poprosiła do stołu. Nie była w stanie spojrzeć Luke'owi w oczy. Była przerażona swoim wczorajszym zachowaniem. Co on sobie o niej pomyślał? Narzuciła mu się jak jakaś pierwsza lepsza! Nawet Alice Todd nie zachowałaby się tak bezwstydnie. Wiedziała, że spotkanie z nim jest nieuniknione, ale nie teraz, nie dzisiaj. Dzisiaj najchętniej ukryłaby się przed światem i wyplakała swoją rozpacz.

Po lunchu i pozmywaniu naczyń Connie z rodzeństwem udała się do domku. W drodze natknęli się na Reubena i jego przyjaciół ze Stone Farm. Stali i rozmawiali z Alice Todd i innymi młodymi ludźmi z folwarku.

- Koło starego kamieniołomu jest duże zamarzniete jezioro, a pogoda wprost idealna na ślizgawkę - oznajmił podekscytowany Bart. - Będzie ognisko, a stary Joseph z High Ford ma przynieść koksiaka do pieczenia kartofli i kasztanów. Chodźcie, może być fajna zabawa.

Alice nie trzeba było długo namawiać, inni też zapalili się do pomysłu, ale kiedy Connie powiedziała siostrze, żeby udali się sami, Flora oświadczyła, że nigdzie bez niej nie pójdzie.

- Bez ciebie chłopcy nie będą mnie słuchać, poza tym powinnaś się trochę rozerwać. Proszę, chodź z nami.

Już miała kategorycznie odmówić, kiedy dostrzegła zaprzężone sanie podjeżdżające pod główny budynek. Poznała zaprzyjaźnione z panią Hudson

starsze małżeństwo. Odwiedzali ją dość często i zawsze zostawali na dwie lub trzy godziny. Luke na pewno skorzysta z ich obecności i będzie chciał z nią porozmawiać i wyjaśnić to, co zaszło między nimi. Uznała, że bezpieczniej będzie, jeśli się stąd oddali.

- Zgoda, idę z wami.

Flora była uszczęśliwiona, a wciąż pełen nadziei Reuben uśmiechnął się promiennie. Connie odwzajemniła uśmiech. Po chwili jej także udzielił się wesoły nastrój.

Mimo przenikliwego zimna radosna atmosfera nie opuszczała przyjaciół. W drodze do kamieniołomów minęli zagajnik, w którym na białym śniegu czerwieniły się jagody głogu, a małe ślady łapek świadczyły o obecności chmary ptaków i innych zwierzątek, które zrobiły użytek z łatwo dostępnego pokarmu. Słońce świeciło wysoko, powietrze było czyste i świeże, przyroda jawiła się w całej swojej krasie.

Już z daleka poczuli zapach ogniska. Na lodzie Connie zobaczyła więcej ludzi, niż się spodziewała. Nieliczni ślizgali się na łyżwach, większość, z braku laku, po prostu na butach. Mężczyzna z koksownikiem rozpałił ogień i w powietrzu zaczął unosić się zapach pieczonych kartofli.

Choć żartom i śmiechom nie było końca, Connie uświadomiła sobie szybko, że przychodząc tutaj, popełniła błąd. Zbiorowa radość tylko pogłębiła jej zły nastrój.

Nigdy nie była na ślizgawce, więc parę razy wywaliła się jak długa. Na niewiele zdała się pomoc Reubena. Pocieszała się, że ponieważ o tej porze roku dzień jest krótki, wkrótce zapadnie zmierzch i będzie można wrócić do domu.

Odetchnęła, kiedy po paru godzinach zgaszono ognisko, wyczerpały się zapasy kartofli i kasztanów, a stary Joseph zaczął pakować swój sprzęt.

Kiedy usłyszała krzyk, nie od razu dotarło do niej, co się dzieje. Dopiero Reuben, który wywrócił się po raz enty i właśnie gramolił się na nogi, powiedział, że chyba na środku jeziora pękł lód. Connie jak oszalała wypatrywała na wszystkie strony, szukając Flory i chłopców. W ogólnym zamieszaniu trudno było się zorientować. Wtem usłyszała krzyk Tommy'ego. Wiedziała, że to on, jeszcze zanim ogarnęła wzrokiem sytuację. W oka mgnieniu zamarznęta tafla prawie opustoszała. To, co zobaczyła, zmroziło jej krew. W pobliżu dużej czarnej dziury na środku jeziora Bart z drugim mężczyzną przytrzymywali Tommy'ego i Davida. Trochę na uboczu stało jeszcze dwóch mężczyzn. Flora i Alice obejmowały się: i płakały, ale wzrok Connie powędrował już w kierunku, w którym zwrócone były oczy wszystkich. Rozciągnięty na lodzie kolega Reubena trzymał kurczowo coś, jakby płaszcz, który rzucił dwóm drobnym postaciom wyczołgującym się z granatowoczarnej wody.

Ronnie! Tak, sądząc po tym, jak bardzo obaj bracia chcą dostać się do niego, to musi być on.

Wyrwała się Reubenowi i w parę sekund dobrnęła na środek jeziora.

- Lód się kruszy - usłyszała jak przez mgłę. - Wyciągnij go, bo będzie za późno.

Tak, to był Ronnie, a drugim chłopczykiem był brat Alice, Charlie Todd. Przerażeni trzymali się kurczowo płaszcza, ale Connie wiedziała, że to tylko kwestia czasu, kiedy w lodowatej wodzie stracą czucie w palcach.

Wiedziała, że musi ratować brata. Centymetr po centymetrze przysuwała się do mężczyzny trzymającego płaszcz. Dotarła do niego, chwyciła za płaszcz w momencie, kiedy lód złowrogo zatrzeszczał.

- Cofnij się - wykrztusiła do kolegi Reubena.

- Jesteś za ciężki, ja nie. No, cofnij się, bo zaraz wszyscy tam się znajdziemy.

Zrobił, co kazała, ale nie odszedł daleko. Zatrzymał się i chwycił ją za kostki.

- Zaraz was stąd wyciągnę - powiedziała zdławionym głosem, widząc, że oczy Ronniego zachodzą mgłą. Nie namyślając się ani przez chwilę, jednym energicznym ruchem podsunęła się do przodu i złapała chłopców za ramiona. Miała wrażenie, że wyrywa je im ze stawów.

- Trzymajcie mnie mocno i drapcie się w górę. Jeszcze trochę... błagam.

Charlie, który był w lepszej formie niż Ronnie, natychmiast zaczął przebierać nogami i owijał się wokół jej ramienia jak małpka na drucie, potem chwycił ją za szyję i wyciągnął się z dziury, omal nie dusząc Connie. Teraz mogła przytrzymać Ronniego obiema rękami, ale mały braciszek miał wciąż zamknięte oczy i był strasznie ciężki. Ciągnęła go z całej siły, wzbierały w niej niepojęte moce, ale na próżno.

- Musisz się wycofać. Lód pęka i lada chwila puści - usłyszała za plecami.

Nie odpowiedziała. Nadludzkim wysiłkiem pociągnęła bezwładne ciało brata. Chwyciła go za tył kurtki i pasek spodni i jeszcze raz spróbowała, po czym na przemian ciągnąc go i przesuwając, wypchnęła Ronniego na powierzchnię i przekazała w ręce stojącego obok mężczyzny, który przejął chłopca i zaczął się z nim wolniutko wycofywać, a Connie posunęła się za nim. Nagle zastygła w bezruchu. Przerażliwy trzask przeszył powietrze, a zdradliwy lód rozstępował się pod nią.

W jednej chwili leżała na lodzie, a już w następnej leciała głową w dół do wody, która była tak lodowata, że ją zatkało. Zanurzała się w czarną, potwornie zimną toń.

Kiedy woda zamknęła się nad nią, młóciła rękami i nogami, próbując utrzymać się w pionie. Kaszłąc i plując, wynurzyła się na moment na powierzchnię. Chociaż ciężar butów i ubrania ściągał ją na dno, czepiała się jeszcze brzegu śliskiej jak szkło śmiertelnej pułapki, ale na próżno.

Tonęła.

Poprzez zielonkawoczną wodę spojrzała raz jeszcze do góry i ponownie się odbiła, ale szarpanina z Ronniem wyczerpała jej siły. Tym razem nie wypłynęła na powierzchnię i nie złapała powietrza. Po chwili poczuła, jakby ktoś wyrywał jej włosy z korzeniami. Krztusząc się i dławiąc, łapała oddech, a kiedy uczepiła się wybawcy, usłyszała głos Luke'a:

- Spokojnie, tylko spokojnie, bo wciągniesz nas oboje. Trzymam cię, Connie, nie szarp się. Nie dam ci utonąć, zaufaj mi, najdroższa.

Chwycił ją pod ramiona, a kiedy otworzyła oczy, zobaczyła jego twarz tuż przy swojej. Leżał na czymś, co wyglądało jak pień sosny, którą kilku mężczyzn trzymało z drugiej strony. Powoli zaczął ją wyciągać z lodowatego grobowca.

Nie wiedziała, jak długo trwało to wydobywanie z wody, ale przez cały czas drżała ze strachu, że lód znów pęknie i utoną oboje. Wtedy Luke objął ją w pasie i trzymał na sobie, leżąc na bezcennym kawałku drewna, a ludzie odciągali ich dalej i dalej od złowieszczej czarnej dziury.

Po dobrych paru metrach Luke zsunął się z pniaka i przez chwilę klęczał z nią w ramionach. Mdlilo ją, kręciło jej się w głowie i trzęsła się z zimna, ale głównym powodem, dla którego nie uwolniła się z jego uścisku, był paraliżujący strach o brata.

- Ronnie? - szepnęła sinymi wargami.

- Jest bezpieczny. - Luke trzymał ją tak mocno, że czuła jego szybko bijące serce. - Och, najdroższa, myślałem, że cię straciłem. Myślałem, że cię straciłem...

Słyszała go jak przez mgłę, a kiedy ponownie ocknęła się w jego ramionach przykryta płaszczami obok dopalającego się ogniska i Flory tulącej Ronniego, dotarło do jej świadomości, że zemdląca. Odszukała wzrokiem Luke'a, który jakby czekał na jej ocknięcie.

- Zaraz poczujesz się lepiej. To z tego zimna - wyszeptał.

Connie potoczyła dokoła wzrokiem. Wszyscy stali milczący i nieruchomi.

- Reuben pobiegł na farmę po furę i koce. Już niedługo znajdziesz się w domu. Nie ruszaj się tylko i nie wytracaj ciepła. To najważniejsze w tej chwili.

Patrząc na jego smagłą twarz, doszła do wniosku, że mogłaby pozostać w jego ramionach do końca życia.

- Skąd pan się tu wziął? To znaczy...

- Wiem, co chcesz powiedzieć. - Uśmiechnął się do niej. - Szukałem cię.

Usłyszałem, jak dzieci wołają, że wybraliście się nad jezioro, więc postanowiłem zaczekać na twój powrót. Ale zacząłem się niecierpliwić... -

Urwał nagle. - Przez moją zawziętość i niemądrą dumę mogłaś się zabić.

- Nie, pan mnie uratował - zaprotestowała słabym głosem.

- Nie powinienem pozwolić ci odejść, nie powiedziawszy, co czuję.

Chodzi o to... - Potrząsnął głową. - Po tym, jak się zachowałem, nie byłem pewny, czy nie pošlesz mnie do wszystkich diabłów.

- Jak pan w ogóle mógł tak pomyśleć?

- Po tamtym poranku... - Ściszył głos do szeptu i pożerał ją wzrokiem. -

Po tamtym poranku zrozumiałem... niech się dzieje, co chce, ale nie pozwolę ci odejść. Wiedziałem, że powinienem dać ci szansę spotkania kogoś innego,

kogoś młodszego i bez przeszłości, a jednocześnie bardzo tego nie chciałem. Kocham cię, Connie. Kocham cię całym sercem, duszą i ciałem. Pragnę być z tobą. Boże, tak strasznie tego pragnę. - Leżała nieruchomo, prawie nie oddychała. W najśmielszych marzeniach nie wyobrażała sobie, że usłyszy od niego te słowa. Były i następne: - Wiem, że miejsce i czas są nieodpowiednie... w normalnej sytuacji ukląkłbym przed tobą z pierścionkiem w kieszeni i poprosił o rękę, ale muszę zrobić to teraz. Kiedy dotarło do mnie, że ty... tutaj... że mogę cię stracić... - Wzruszenie nie pozwoliło mu dokończyć. Kilkakrotnie przełykał, żeby móc mówić dalej. - Miałem wrażenie, że po tysiącokroć umieram.

- Och, Luke. - Po raz pierwszy wymówiła jego imię, a czułość w jej głosie była zniewalająca.

Zamknął oczy, walcząc ze łzami, przycisnął ją do siebie tak mocno, jakby miał nigdy nie zwolnić uścisku. Potem odsunął ją odrobinę, spojrzał jej głęboko w oczy i zapytał:

- Wyjdiesz za mnie? Czy zrobisz mi ten zaszczyt i zostaniesz moją żoną? Czy zostaniesz matką moich dzieci i będziesz się starzeć razem ze mną, kochając mnie i pozwalając się kochać przez wszystkie dni naszego wspólnego życia? Czy pozwolisz mi się rozpieszczęć, troszczyć o siebie i wielbić, moja najśłodsza, najdroższa miłości?

Uśmiechnęła się przez łzy.

- Tak, po tysiącokroć tak.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Zapowiedzi powtarzano w parafialnym kościele przez trzy kolejne niedziele. Ostatnia wypadła wczoraj, a teraz była Wigilia Bożego Narodzenia i jednocześnie ślub Connie. Jednych dziwił ten pośpiech, inni przyjęli to normalnie, podkreślając korzystne zmiany, które w tak krótkim czasie zauważyli w zachowaniu pana Hudsona.

- Chyba dasz dziewczynie tę podwiązkę, którą zrobiłaś? - Jacob popatrzył czule na żonę. - Była taka śliczna, kochanie.

Rose przytaknęła ruchem głowy.

- W ten sposób będzie miała coś niebieskiego; a jeśli chodzi o coś starego, to będzie miała na sobie ślubną suknię naszej pani, a coś pożyczonego, to będą grzebyki Hannah z masy perłowej do włosów. Idę o zakład, że już teraz wygląda bosko.

Rzeczywiście Connie wyglądała prześlicznie. Siedziała przed długim lustrem w sypialni matki Luke'a, a Flora poprawiała i ozdabiała zaczesane do góry włosy siostry przed umocowaniem na nich zwiewnego welonu.

Maggie rozsiadła się w dużym fotelu i przyglądała im się z błogim uśmiechem na ustach.

- Wyglądasz olśniewająco, dziewczyno - orzekła radośnie. - Olśniewająco. Nie było piękniejszej panny młodej od ciebie.

- To dzięki tej sukni. - Connie odwróciła się i uśmiechnęła do kobiety, którą już teraz uważała za swoją drugą matkę.

A ślubna suknia była istotnie wyjątkowo piękna. Maggie ofiarowała ją Connie razem z welonem w dzień po zaręczynach.

Kiedy welon został przypięty, Connie wstała i przejrzała się w lustrze. Zobaczyła w nim delikatną, eteryczną postać. Z niedowierzaniem dotknęła swojej twarzy. Koronkowa suknia i sznur drobniutek perełek przydały skórze magicznego blasku.

Flora aż zaniemówiła z podziwu.

Connie też. Czy to jawa, czy sen? Czowała się dziwnie, odrobinę zakreśliło się jej w głowie, dopiero kiedy spojrzała na zaręczynowy pierścionek z rubinem i perłą na serdecznym palcu, upewniła się, że to wszystko dzieje się naprawdę.

- Gotowa? - zapytała Maggie, podnosząc się z fotela. - Pora jechać. Kiedy tu wrócisz, będziesz panią Hudson.

- Gotowa - odpowiedziała Connie. Jeszcze jak, dodała w myślach.

- Przestań się kręcić i nie oglądaj się za siebie, człowieku. - Gregory, druhna Luke'a, uśmiechnął się do przyjaciela.

Luke był zdenerwowany. Od rana spodziewał się najgorszego. Wszystko było zbyt piękne, żeby mogło być prawdziwe.

Niepomny na pouczenia Gregory'ego spojrzał znowu za siebie. Parafialny kościółek był pięknie udekorowany z okazji Bożego Narodzenia i pękał w szwach.

- Patrz przed siebie - syknął Gregory, kiedy w przedsionku kościoła zrobiło się poruszenie, a zaraz potem zagrały organy.

Luke posłuchał drużby, ale tylko na chwilę. Odwrócił się po raz enty i na moment zaparło mu dech w piersi. Wszystkie barwy świata, całe piękno, które kiedykolwiek widział, i najśłodsze dźwięki, które kiedykolwiek słyszał, połączyły się w całość i znalazły wyraz w postaci kobiety idącej w jego stronę.

Nie mógł oderwać od niej oczu, a kiedy zbliżyła się do niego, nie bacząc na protokół, wziął ją za rękę i splótł z nią palce.

Nabożeństwo było proste, ale piękne, a kiedy ksiądz ogłosił ich mężem i żoną, Luke poderwał Connie i całując ją do utraty tchu, zakreślił się z nią dookoła.

Po opuszczeniu kościoła zostali zasypani ryżem i płatkami kwiatów, a bielusieńki śnieg i kryształowe sople na drzewach i krzewach wzdłuż drogi prowadzącej do powozu skrzyły się w słońcu, jakby przyroda zmówiła się na ten dzień i wystąpiła w pełnej krasie.

W drodze do domu Connie wtuliła się w Luke'a. Wymienili długi, namiętny pocałunek.

- A więc jesteśmy mężem i żoną - powiedziała, patrząc na niego rozpromienionym wzrokiem.

- Kocham cię, pani Hudson. - Pocałował ją jeszcze goręcej.

Na ucztę weselną zaprosili mnóstwo gości: wszystkich mieszkańców farmy, sąsiadów, a nawet państwa Briggsów. Stoły uginały się od jadła, Luke przyniósł beczułkę piwa, butelki whisky i brandy, nie zabrakło też gorącego wina z korzeniami, imbirowego piwa, a także lemoniady dla dzieci.

Wszyscy byli dla nich nadzwyczaj mili, a dzień był cudowny, ale Connie marzyła o chwili, kiedy wymkną się do należącej do Luke'a części mieszkalnej.

Odszukała go wzrokiem. Stał przy pięknie ubranej choince, otoczony dziećmi, a dobrze skrojony czarny frak i spodnie podkreślały jego męską urodę. Pomyślała, że każdej niewieście serce musi bić szybciej na jego widok.

Była prawie siódma godzina, kiedy odjechali goście. Właśnie machali na pożegnanie pasażerom ostatniego powozu, kiedy spadł pierwszy tego dnia śnieg.

- Wigilia Bożego Narodzenia - wyszeptała Connie. - Czy można sobie wymarzyć bardziej idealny dzień na nasz ślub?

- Nie wolałabyś lata, kiedy jest ciepło, a dni długie?

- Nie, właśnie teraz jest doskonała pora.

- To ty jesteś doskonała - powiedział z nagłą powagą.

W głębi domu Flora głośno zaganiała chłopców do sypialni, którą urządzono dla nich na półpiętrze. Connie zateęskniła za rodzicami. Żałowała, że nie są z nimi i nie mogą być świadkami jej szczęścia, choć - pocieszyła się - może patrzą na nią z góry i uśmiechają się do nich wszystkich. W końcu przecież jest Wigilia, kiedy wszystko staje się możliwe.

Luke poprowadził ją za rękę do swojego saloniku na górze, gdzie w kominku trzaskał wesoło ogień.

Wziął ją w ramiona, a Connie zamknęła oczy, modląc się w duchu, żeby ich pierwsza wspólna noc okazała się dla niego najwspanialsza. Musnął wargami jej powieki, obsypał pocałunkami płatki uszu, szyję... Dopiero teraz poczuła, jaka była spięta. Stopniowo doświadczała coraz słodszych i silniejszych wrażeń.

- Jesteś piękna, delikatna, cudowna... - szeptał drżącym głosem, kiedy znaleźli się w sypialni, gdzie bez pośpiechu zdejmował z niej ubranie, zachęcając ją do tego samego. - Nie bój się, najdroższa, nie zrobię ci krzywdy. - Ułożył ją na atłasowej kapie wielkiego łóża, sam rozebrał się do końca i położył przy niej. - Zaufaj mi. Kocham cię...

Powoli, jak wcześniej, relaksowała się u jego boku, a kiedy bardziej otworzyła się na niego, dotykał jej i smakował coraz goręcej. W swojej nieświadomości Connie nie mogła wiedzieć, do jakiego stopnia Luke kontroluje się, jak subtelnie prowadzi miłosną grę, świadomy tego, że jakiegokolwiek ponaganie byłoby zbrodnią.

Dopiero po jakimś czasie delikatnie wsunął się między jej uda, a ona nie posiadała się ze szczęścia, że należy już do niego bez reszty, jak na żonę przystało. Narastające uczucie rozkoszy sprawiło, że w ogóle przestała myśleć. Pojękiwała, nie zdając sobie z tego sprawy, poddała się całkowicie mężowi, a on był jej wdzięczny, że tak miłośnie go przyjmuje, gdy torował sobie do niej drogę.

Poszybowali wysoko, tam, gdzie docierają tylko zakochani, gdzie jest nieziemsko jasno i rozkosznie. Connie była oszołomiona, zachwycona doznaniem, których dzięki niemu i razem z nim doświadczała.

- Nigdy nie przypuszczałam...

- Ani ja, najdroższa. Ani ja... - Wyciągnął rękę, naciągnął na nich pled i delikatnie wysunął się z niej, podczas gdy drugą ręką odgarniał wilgotne kosmyki z jej zaróżowionej twarzy.

- Co by było, gdybyśmy się nie spotkali tamtego wieczoru, kiedy zemdlałam na śniegu? - zapytała po chwili, zwracając twarz w jego stronę. - Co by było, gdybyś się tam zjawił parę minut wcześniej albo później? Gdybyś mnie nie uratował? Co by było...?

- Wystarczy tego gdybania. - Ze śmiechem położył palec na jej ustach. - Byliśmy sobie przeznaczeni. Jesteś moją drugą połową. I nie chodzi tylko o to, że cię kocham... Jesteś dla mnie wszystkim. Nie wyobrażam sobie życia bez ciebie.

Kochali się jeszcze raz, a potem, kiedy Connie zasnęła wtulona w zgięcie jego ramienia, Luke wpatrywał się w śpiącą żonę i dziękował losowi za ten dar.

- To nie ja uratowałem cię tamtego wieczoru, ale ty mnie - wyszeptał.
- Jeszcze to kiedyś zrozumiesz, najdroższa.

Objął ją mocniej, a ona wymruczała przez sen jego imię i mocniej wtuliła się w niego. I tak już miało pozostać na zawsze.



RS